ROK III. Nr. 5 (105). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 1 lutego 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



NOWOCZESNY WRÓŻBITA... *(patrz strona 99-ta)*





W dniu 14 b. m., ks. arcybiskup Ropp pobłogosławił związek małżeński między p. M. Rostworowską, córką sen. W. Rostworowskiego, prez. Polskiej Agencji Publicystycznej i p. J. Krzyżanowskim, synem znanego działacza społecznego, obywatela ziemskiego w Kaliskiem.

Dn. 21 b. m. odbył się w Warszawie ślub córki ś. p. Rudolfa Sikorskiego, nadradcy Magistratu Krakowa, z p. Mieczysławem Szyszyłowiczem, radcą wojewódzkim, kierownikiem oddziału prasowego w Komisarjacie Rządu m. st. Warszawy.



Podczas, gdy cały świat przejęty jest trwogą o najbliższą przyszłość, Amerykanie jedni nie przestają urządzać u siebie bezsensownych imprez, jak np. obsadzanie fantastycznych tronów królowemi. Na fotografji — Mary Lu Wadall, „Królowa Róż" na rok 1931.



Minister Curtius był pewien zwycięstwa na turnieju genewskim, stało się jednak inaczej, przyczem zasługuje na specjalną uwagę fakt, iż w ostatniej chwili niemal przedstawiciel Reichu spuścił z tonu na skutek otrzymanych z Berlina instrukcyj.



Na iście amerykański gest zdobył się bandyta, Al Capone, zakładając dla bezrobotnych z Chicago jadłodajnię, którą hojnie zasila funduszami. Ciekawe, doprawdy, społeczeństwo, w którem toleruje się podobne wybryki.

Podbój Paryża przez fakira

Przyjmuje w kawiarence na Montmartrze. Przepowiada przyszłość, udziela porad życiowych. Pochodzi ze środkowej Ameryki i jest rzekomo synem jednego z ciągle zmieniających się tam prezydentów Tak zwane „Tout Paris" przyjeżdża do niego, cierpliwie wyczekując na swoją kolejkę. Zagraniczni klijenci, jak np. Charlie Chaplin, również pożądają porady tajemniczego fakira. Nie małą reklamę wyrabia sobie dziwacznym strojem i manjerami, jak wystawanie nad grobami i medytowanie nad znikomością tego świata. Ubija sobie podobno wspaniały business!



Fakir zasięga tajemnych wiadomości u swego ptaka.

Chwila medytacji nad płytą grobową.

Wykonywanie magicznych pas na obliczu klijenta

MAURYCY DEKOBRA. Z CYKLU „WĘDRÓWKI PO KALIFORNJI".

Klatka na pięć tysięcy...



Architekci Slonn i Robertson wybudowali, kosztem 1.810.000 dol. nowoczesny gmach więzienny w Nowym Yorku.

Los-Angelos, w listopadzie.

Organizacja więziennictwa w Stanach Zjednoczonych jest tematem bezustannych dyskusyj moralistów wogóle, a w szczególności europejskich. Bo istotnie, wątpić o tem zaczynamy, naprzykład, czy żyjemy w warunkach normalnych, gdy czytamy następujące ogłoszenie:

> PRZEDSTAWIENIE GWIAZDKOWE
> w więzieniu w Sing-Sing
> W okresie świąt Bożego Narodzenia będzie grana w więzieniu komedja muzyczna p. t.
> *JESSE JAMES*
> Patronat nad tą imprezą przyjęła *Liga Opieki nad Więźniami.* Siedemdziesięciu pięciu utalentowanych więźniów przyjmie udział w przedstawieniu.
> Widowisko odbędzie się w godzinach wieczorowych. Prawo wstępu dla publiczności nieograniczone.

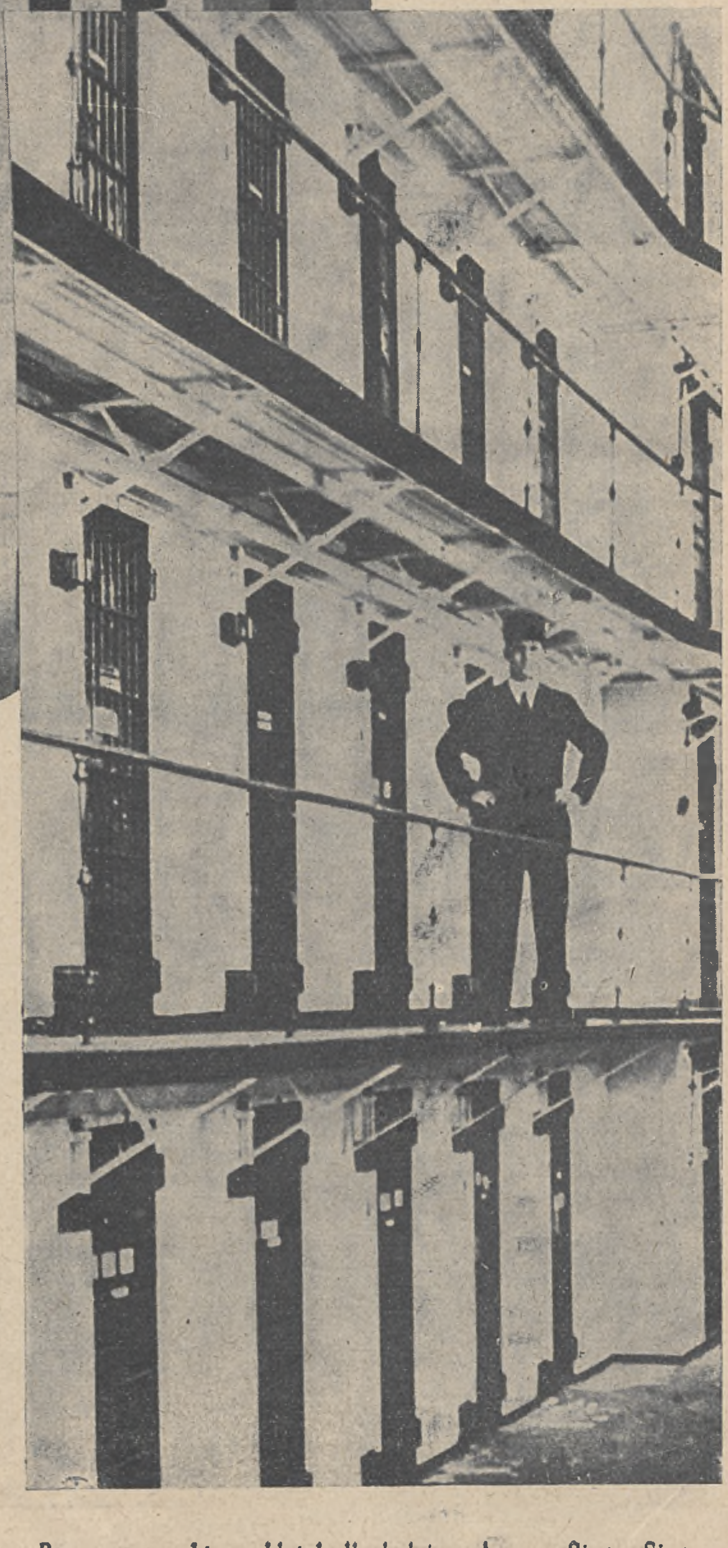
Nie ulega kwestji, że my, obywatele Paryża, Londynu lub Berlina, za mało musimy być cywilizowani, jeśli nie proponujemy szerokim sferom publiczności przedstawienia, w którem aktorami byliby więźniowie z *Santé* lub Wedekinda w interpretacji opryszków z Ploetzensee!

A wszak niedawno jeszcze Amerykanie nie mało mieli kłopotu ze swymi więźniami. Krew polała się po celach i korytarzach. W prawdziwym szyku bojowym stanęli z kulomiotami dozorcy więzienni przeciw zbuntowanym pupilom.

I cóż na to Liga?

Inna anomalja. Sędziowie nasi nie wierzyliby własnym oczom, gdyby ujrzeli w kronice sądowej artykuł o tem, jak to niejaki Plantages, bogacz, zawodowo pracujący na niwie teatralnej, został osadzony w więzieniu na termin *od 1 roku do lat 50* za nastawanie na cnotę szesnastoletniej dziewczyny — lub to, że złodziej zawodowy, Walton, został skazany *na 1 rok do lat 5-ciu,* i że, ulegając prośbom jego małżonki, władze osadziły ją wraz z mężem w więzieniu; dalej — że ten sam Walton, po roku przebywania za kratkami, zbiegł z więzienia, porzucając w niem żonę, której, po długich staraniach, udało się wreszcie opuścić miejsce dobrowolnego zamieszkania.

Czyż przykłady te, których moglibyśmy zresztą przytoczyć bez liku, nie świadczą o tem, w jak szczególny sposób traktowane są w Stanach Zjednoczonych sprawy karania przestępców. Jasnem jest, że, słysząc o tych rzeczach, skwapliwie skorzystałem z zaproszenia dyrektora jednego z większych więzień amerykańskich, niejakiego p. Jacka Holohana, i udałem się do niego w odwiedziny.



Ponura perspektywa klatek dla ludzi w słynnem Sing - Sing.



Więzienie w San Quentin położone jest nad zatoką San Francisco. Okolica jest malownicza, cudnie ukwiecona. Wesoło tu, idylicznie. Zadaję sobie mimowoli pytanie —czy zdążam do więzienia, czy do jakiego kasyna na Rivierze?

P. Jack Holohan jest gentlemanem niezwykle sympatycznym i gościnnym. W chwili, kiedy go poznałem, rozmawiał uprzejmie z dwiema eleganckiem damami, które prosiły go o zwolnienie na słowo ich krewniaka, skazanego na siedem lat. W tem miejscu uprzedzam, iż prawodawstwo amerykańskie dopuszcza zwalnianie automatyczne więźniów, skazanych na *rok do dziesięciu*, po sześciu latach i sześciu miesiącach, a po pierwszym roku, w razie nienagannego prowadzenia się delikwenta — na zwolnienie go na słowo.

Identyczna swoboda decyzji pozostawiona jest zarządowi więzienia w stosunku do winnych zabójstwa w 2-m stopniu i skazanych na pozbawienie wolności od *pięciu lat do dożywotniego więzienia*, jedynie zaś nie uznaje żadnych ustępstw dla winnych zabójstwa w 1-m stopniu i skazanych w granicach od dożywotniego więzienia do kary śmierci.

Pan Holohan pokazał mi codzienne dane statystyczne. W więzieniu jego odsiaduje karę *pięć tysięcy ludzi*, w której to liczbie — sto dwadzieścia cztery kobiety. Wśród mężczyzn spotkać można białych i czarnych, chińczyków, japończyków, czerwonoskórych, hawajczyków, hindusów, i t. d., i t. d. Istna wieża Babel!...

Po spożyciu na prędce lunchu, który nam podawał w restauracji więziennej niezwykle elegancki skazaniec (za zabójstwo 2-go stopnia), dyrektor zademonstrował mi straż ogniową. Zastaliśmy jednego z więźniów, zajętego czyszczeniem miedzianych części maszyn. Żuł gumę z wesołą miną. Przywitał nas niezmiernie familjarnie:

— Hallo, dyrektorze!

Przedstawiono mi go:

— P. Kid Mac Koy, bokser, więzień... P. Dekobra, literat... na wolności!

Podaliśmy sobie ręce. A po chwili, gdy podążyliśmy dalej, dyrektor mi objaśnił:

— Odsiaduje karę za zabójstwo... Ogromnie miły człowiek. Ubóstwia pożary...

— ???

— Bo wyprowadzają wówczas sikawki — co stanowi ulubioną jego rozrywkę.

Przestąpiliśmy progi więzienia. Ciężkie kraty zamknęły się za nami. Spostrzegłem na wstępie, iż pensjonarjusze nie noszą ubrania w paski, które uwiecznił Charlie Chaplin. Odziani są na szaro, na głowie zaś noszą czapkę lub filcowy kapelusz. Widać, że się nie nudzą. Odnosi się wrażenie, że jesteśmy raczej w jakiejś fabryce. Nic z ponurego nastroju słynnej pieśni — *The Ballad of Reading Geol.* W ogromnej hali siedzi pięciuset więźniów i szyje worki. O zachodzie słońca, po odbyciu spaceru po ogromnych podwórcach, wszyscy kierują się do budynków, zawierających *klatki*. W okratowanych bowiem klatkach przebywają więźniowie, parami, a nie w murowanych celach, jak to ma miejsce w innych krajach. Umeblowanie klatki składa się z łóżek, podobnie ułożonych, jak w wagonach, ze stołu, stołków i umywalni. Na gwizdek dozorców tysiąc więźniów staje na baczność, każdy przed swą klatką, po chwili odsuwają kratę i wchodzą. Wnet defilują dozorcy i zamykają drzwi na klucz. Wszystko to dziwnie przypomina stosy pułapek na szczury, ustawionych w cztery kondygnacje.

✻

— A cóż skazani na śmierć? — zapytuję.

Dyrektor prowadzi mnie do odosobnionego pięterka, t. zw. *Condemned Row*, otoczonego kwietnikami.

— Widzi pan te cele, wychodzące na balkon? Oto właśnie tu siedzą. W tej chwili skazani grają z dozorcami na podwórzu w szachy.

— A gdzie odbywają się egzekucje?

— Proszę za mną...

Kierujemy się do innego budynku, na środku którego rozmieszczone są cele śmierci *(death cells)*. W paru z nich niema żadnego umeblowania. Skazańca przeprowadzają tu przed egzekucją i w tej celi przebywa dwie doby pod ścisłą i nieprzerwaną kontrolą dozorcy. O północy wchodzi kat i krępuje skazańcowi ręce długim rzemieniem skórzanym. Wchodzi zkolei dyrektor i odczytuje wyrok śmierci, poczem nakładają skazańcowi czarny kaptur na głowę i wyprowadzają na miejsce kaźni. Tu zakłada mu kat sznur na szyję i ustawia na ruchomej platformie. Wszystko to odbywa się z błyskawiczną szybkością i trwa najwyżej 30 sekund. Kat podnosi rękę. I oto następuje dziwna operacja, której dokonywa trzech pomocników, siedzących w drewnianej budce — tuż obok szubienicy. Przed każdym z pomocników znajduje się naciągnięta lina. Jedna z nich tylko połączona jest z platformą, gdyż cały sekret na tem polega, aby żaden z pomocników nie wiedział, że to on właśnie był sprawcą egzekucji. I istotnie, na znak, dany przez kata, pomocnicy jednocześnie przecinają nożem liny. Wszystko zostało spełnione, a kat również unika tym sposobem bezpośredniego udziału w zadaniu śmierci.

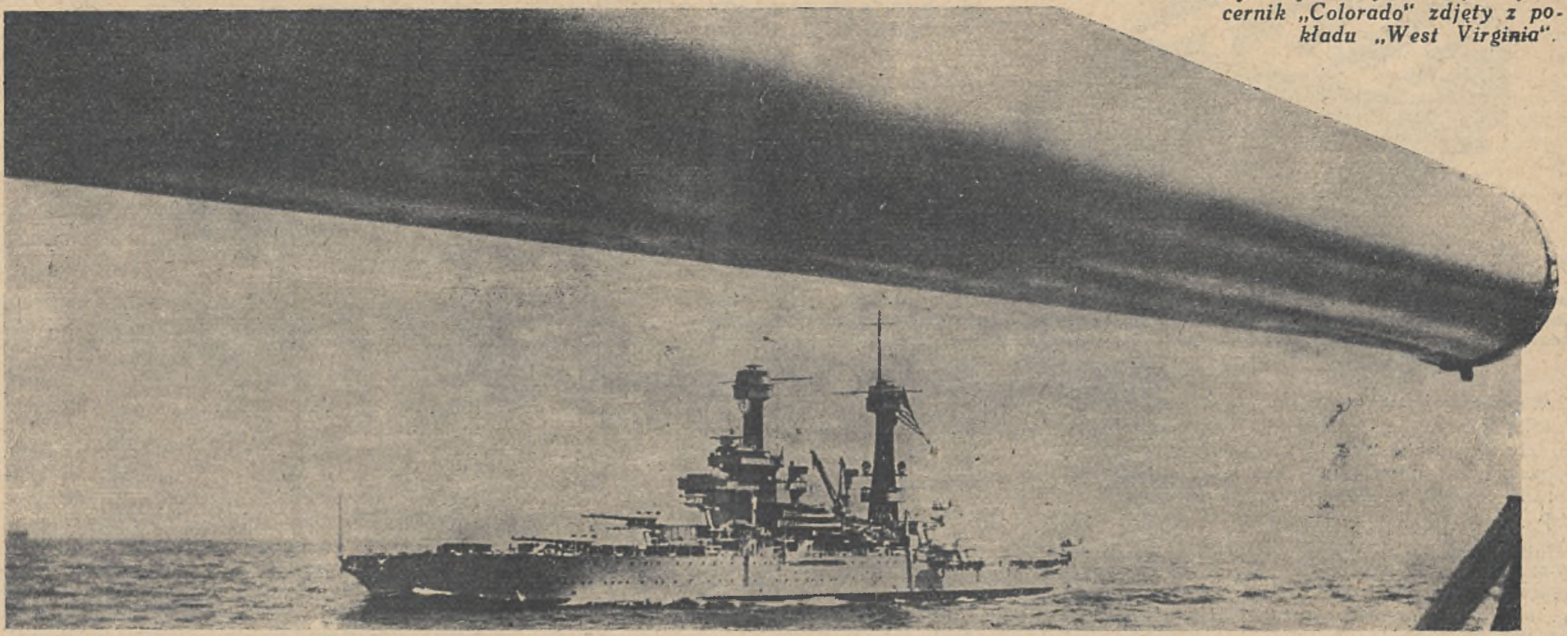
✻

Gdy wyszliśmy po chwili z ponurego budynku, znaleźliśmy się znowu obok straży ogniowej. Bokser Kid Mac Koy wciąż czyścił miedziane krany i pogwizdywał na melodję *„Halleluiah"*.



Więzienia amerykańskie dbają o rozrywki kulturalne swych wychowańców. Przedstawienia amatorskie, ze starannie wybranym programem, chóry i orkiestry nietylko uprzyjemniają szare więzienne życie, ale kierują myśli przygodnych, czy też nałogowych przestępców w kierunku podniesienia ducha i wykrzesania szlachetnych pierwiastków charateru.

Manewry floty amerykańskiej — pancernik „Colorado" zdjęty z pokładu „West Virginia".



POUR LE ROI DE PRUSSE...

W kilku pismach krajowych ukazały się fotografje amerykańskich lotniskowców, pod sugestywnym tytułem: Okręty na szmelc.

Tekst pod fotografją (nie we wszystkich pismach identyczny) wyjaśniał, że oto dwa największe okręty świata, pancerniki amerykańskie, „Lexington" i „Saratoga", zostają sprzedane na szmelc, albowiem utrzymanie ich kosztuje zbyt wiele. Oczywiście — doba rozbrojenia...

Pomijamy zasadnicze nieścisłości, jak to, że oba wspomniane okręty nie są pancernikami, że największym okrętem wojennym świata jest angielski „Hood", a po nim też angielskie „Nelson" i „Rodney", że o sprzedaniu na szmelc obu lotniskowców jakoś oficjalnie nic nie wiadomo, że przeciwnie, „Naval-Department" Stanów Zjednoczonych zmienia starsze samoloty, zaokrętowane na lotniskowcach na typ bardziej nowoczesny.

Nie chcemy też zasadniczej winy za owe nieścisłości zwalać wyłącznie na naszą prasę, być może wprowadzoną w błąd przez zagraniczne agencje fotograficzne.

Ale nie możemy pominąć milczeniem momentu psychologicznego całej sprawy: owych nieszczęsnych „okrętów na szmelc", popartych „Dobą rozbrojenia", „Powszechnym pokojem", „Locarnem morskim" i tym podobnemi idyllami. Albowiem — jak mówią Francuzi — coś w tem wszystkiem jest niekatolickiego.

Bo skądże odrazu taka straszna zawziętość przeciwko okrętom? Skąd tak okropnie sugestywne tytuły, drukowane najtłustszemi czcionkami? Dlaczego, jeśli np. spuszczony zostaje we Francji nasz, własny, polski okręt, to prasa ogranicza się do suchej wzmianki petitowej, ewentualnie do depeszy? Fotografje polskich okrętów wojennych należą do rzadkości. A już rzadko komu przyjdzie do głowy dać nad taką fotografją równie sugestywny, ale pozytywny tytuł.

Bywały wypadki, że niektóre pisma, odmawiające — z braku miejsca lub odpowiednich funduszów — umieszczenia fotografji czy artykułu o polskiej marynarce wojennej, umieszczały jednak cały szereg zdjęć i feljetonów, przedstawiających girlsy na armatach amerykańskich pancerników, albo „niezwyciężone" pancerniki niemieckie w Kanale Kilońskim, albo nawet... „manewry floty litewskiej" (sic — egzemplarz mam zachowany), która to flota na fotografji przedstawia się wcale imponująco, w rzeczywistości jednak... nie istnieje.

I tu znów dzieje się coś bardzo, ale to bardzo nie po katolicku.

Wziąwszy rzeczową stronę sprawy, wiadomo, że rozbrojeniowa konferencja w Londynie spaliła na panewce. Że to, co na niej uzyskano, to paljatywy, prolongaty i kompromisy. Zresztą do porozumienia nie doszło, a przedłużenie wieku niektórych jednostek, oraz wycofanie ze służby starszych, nie stanowi rozbrojenia. Tembardziej, jeśli na miejsce wycofanych pancerników, buduje się na gwałt krążowniki, torpedowce, łodzie podwodne, sterowce i hydroplany.

Jedynym pozytywnym rezultatem jest zmniejszenie wydatków na flotę. Ale właśnie dlatego wojna staje się tańsza, a co zatem, łatwiejsza.

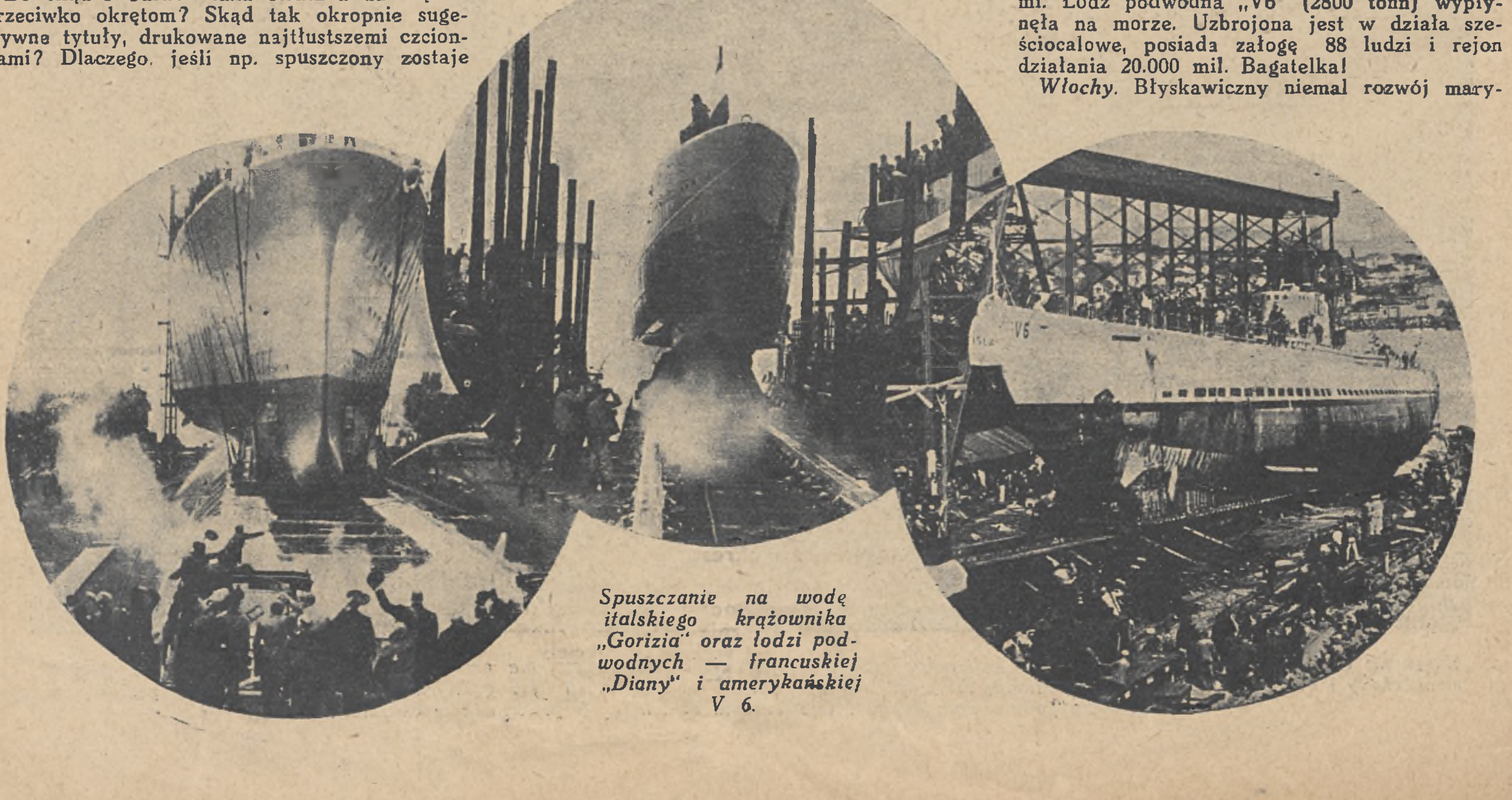
A teraz weźmy z kolei kronikę morską i zobaczmy, jak owo rozbrojenie wygląda naprawdę:

Wielka Brytanja. Następujące nazwy zostały obrane dla nowych okrętów programu 1930: Krążowniki — „Neptune", „Orion", „Achilles", Kontrtorpedowce — „Duncan", „Defender", „Daring", „Diamond", „Decoy", „Dainty", „Delight", „Duchess", „Diana". Stawiacz min „Guardian". Łodzie podwodne: „Starfish", „Seahorse", „Porpoise", Kanonierki — „Falmouth", „Milford", „Dundee", „Werton-super-toare".

Kontrtorpedowiec „Bulldog" został spuszczony w Wallsend całkowicie gotowy — z maszynami, działami, masztami i kominami. Nowe łodzie podwodne „Regent" i „Regulus" wyruszyły na morze. Dwie dalsze tegoż typu — „Rainbow" i „Rover" — są w budowie. Kanonierka „Shoresham" została spuszczona w Chatham. Jest to okręt z serji dziewięciu nowych kanonierek marynarki brytyjskiej.

Stany Zjednoczone. Projekt budżetu morskiego na rok 1931 obejmuje 350 miljonów dolarów (to jest tyle, ile wynosi całkowity budżet polski). Rozpoczętą zostanie budowa jednego krążownika (10.000 tonn), zabierającego 25 samolotów, jednego krążownika lekkiego, 11 kontr-torpedowców, 4 łodzi podwodnych i jednego lotniskowca o 13.000 tonnach. Modernizacja pancerników pochłonie 30 miljonów. Prawie dwa miljony pójdą na sterowce. 227 wodnopłatowców trzeba będzie zastąpić nowemi. Łódź podwodna „V6" (2800 tonn) wypłynęła na morze. Uzbrojona jest w działa sześciocalowe, posiada załogę 88 ludzi i rejon działania 20.000 mil. Bagatelka!

Włochy. Błyskawiczny niemal rozwój mary-



Spuszczanie na wodę italskiego krążownika „Gorizia" oraz łodzi podwodnych — francuskiej „Diany" i amerykańskiej V 6.

marki italskiej, zdobywczyni rekordów szybkości dla krążowników i kontrtorpedowców, oraz głębokości dla łodzi podwodnych, opisywano już szeroko. Obecnie na stoczniach włoskich buduje się 22 łodzie podwodne (rekord) i kilkanaście okrętów nadwodnych.

Francja. Spuszczono na wodę w roku 1929: krążowniki „Joanne d'Arc" i „Dupleix", kontrtorpedowce „Vauban", „Albatros", „Gerfault", łodzie podwodne „Archimede", „Achille", „Ajax", „Nautilus", „Diane", „Meduse", „Protée", „Pegase", „Phoenix", „Promethée", „Atalante", „Amphitrite". Buduje się krążownik „Algerie", 6 kontrtorpedowców, 71 łodzi podwodnych, stawiacz sieci i dwie kanonierki. W projekcie jest budowa dwóch pancerników.

Japonja, Republiki Południowo-Amerykańskie, Szwecja, Turcja, Grecja, Holandja, Jugosławja, budują nowe jednostki. Ta ostatnia — kraj względnie ubogi i niewielki, ponosi na flotę znacznie większe ciężary od Polski. Co się zaś tyczy Niemiec, to mimo fatalnych skutków kryzysu gospodarczego i miljonów bezrobotnych, rozbudowują flotę szybko i systematycznie, dokonywując swemi nowemi pancernikami przewrotu w budownictwie wojenno-morskiem, a może i w taktyce.

Tak tedy wygląda w barwach rzeczywistych owo „rozbrojenie". A teraz pytanie, komu zależy na wmawianiu w szerokie masy czytelników, że era powszechnego pokoju ogarnęła świat i że pora już przekuć miecze na lemiesze?

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że część naszej prasy posługuje się niemieckiemi zdjęciami, lub też amerykańskiemi, ale propagowanemi przez niemieckie agencje fotograficzne, przyczem napisy nie zawsze są zgodne z rzeczywistością,— cały ów „pacyfizm" przestanie być dla nas zagadką. Wiadomo bowiem, komu zależy na uśpieniu czujności sąsiadów, na propagowaniu ultra-pacyfizmu wych wśród ludów Europy. I jakie stąd korzyści może wyciągnąć ten, kto, propagując wśród innych rozbrojenie, sam przez ten czas zbroi się najintensywniej. Oto gdzie psa pogrzebano.

Dziwne, że prasa nasza tak bezkrytycznie przyjmuje owe nasłane teksty „made in Germany", albo „copyright in Germany", że je propaguje i że — o zgrozo! — dodaje do tego własnego przemysłu tytuły, idące jeszcze na rękę naszym wrogom. Tymczasem jedno z pism ilustrowanych odmawia umieszczenia artykułu o podróży „Iskry", a jedno z poczytniejszych pism prowincjonalnych — artykułu o potrzebie marynarki wojennej. Robota „pour le roi de Prusse".

Zła wola — nie! Raczej sancta simplicitas i brak zrozumienia. Ale pora, by już z tem skończyć. Bo, naprawdę, przypomina się mickiewiczowska „Papuga Narodów".

A więc... ostrzegamy. *Kapitan Nemo.*



Legenda o cyganerji

Tak zwaną „Cyganerję" zwykliśmy sobie wyobrażać w następujący sposób: w pokoiku na poddaszu — *sous les toits* — siedzi biedny człowieczek, wynędzniały, owłosiony, wiecznie głodny, obdarty i tworzy... Przyświeca mu ogarek, wetknięty w butelczynę, stół, krzesło kulawe, barłog w kącie — całe jego umeblowanie, lecz cóż mu po tem — tworzy... Tworzy, kocha i urzyna się — artysta z łaski Bożej — oblubieniec muz.

Oto cyganerja — lecz w wyobraźni Mürger'ów, Gauthier'ów i innych. Bo tego wymagał duch czasu i nie mogło być inaczej — bez łezki...

W samej rzeczy atoli wyglądało to nieco inaczej i napróżno dziś jeszcze ronimy łzy.

Weźmy naprzykład Chateaubriand'a, który wszak otrzymał za swe „Mémoires d'outre tombe" — pół miljona franków, Sue kazał sobie zapłacić za cztery powieści — 60.000, Théophile Gauthier zarabiał około 40.000 franków rocznie i t. d. i t. d.

Największą wszakże sensację wywołał w owym czasie popularny pisarz francuski, Aleksander Dumas, który nigdy wprawdzie nie pozował na „cygana" i żył więcej niż dostatnio, trwoniąc niewiarygodne sumy pieniędzy. Sprawa jego dochodów i pojęcie o twórczości — objawione z okazji głośnego procesu, wytoczonego przeciw niemu przez zniecierpliwionych wydawców, rzuciła nieco światła na stosunki artystyczne, panujące za czasów rozkwitu „cyganerji".

Powództwo oparte było na fakcie niedotrzymania przez pisarza umowy z wydawcami o dostarczenie w ciągu 5-ciu lat 18-tu tomów powieści rocznie, za które honorarjum wynosiło 3.600 franków za każdy tom. W toku procesu okazało się, że wydawcy słusznie byli zaalarmowani postępowaniem Dumas'a, gdyż przytoczono dowody, iż niezależnie od kontraktu z nimi, pisarz zawarł umowy z 11-a wydawcami na dostarczenie im 165.000 wierszy powieści, feljetonów i artykułów. Nic dziwnego, że nie miał czasu!

Dumas bronił się osobiście. Audytorjum gniotło się na sali i słuchało ze zdumieniem argumentów ulubieńca publiczności, polegających na wykazaniu, iż żyć bez pieniędzy nie potrafi, a mając olbrzymie zobowiązania dokłada wszelkich starań, aby zadośćuczynić wymaganiom kontrahentów. Czyż nie wypisał w ciągu 18-u miesięcy 158.000 wierszy, czyż nie zaangażował do pomocy cudownego współpracownika, jakim jest sekretarz jego, p. Maquet, czyż ktokolwiek inny mógłby dokonać tego co dotychczas uczynił?...

Dumas bronił się zażarcie, bił się w piersi, deklamował, opowiadając, jak oto stracił dziesiątki tysięcy, gdy dobrowolnie zrzekał się najkorzystniejszych kontraktów, a nawet zwracał zadatki...

Broniły pisarza najsłynniejsze gwiazdy adwokatury — lecz sprawa została przegrana i sąd wydał niezmiernie oryginalny wyrok, mocą którego Dumas miał napisać w ciągu 1 roku — 17 powieści i 1/5 (!) dla jednego ze skarżących oraz 15 powieści i 1/3 (!) dla drugiego — czyli razem 32 tomy... Wyrok przewidywał ponadto, iż w razie uchybienia tym warunkom Dumas musi ponosić karę pieniężną w wysokości 100 franków za każdy dzień zwłoki, w razie zaś jeśliby suma ta miała przekraczać 300 franków, sąd groził bezwzględnem uwięzieniem.

Ciekawym szczegółem, którego nie omieszkała pochwycić obrona strony skarżącej było to, że Dumas kilkakrotnie nazwał przed trybunałem utwory swe „towarem", podciągając w ten sposób charakter swojego zobowiązania do kategorji długów handlowych.

— Muszę zarabiać — wyznawał szczerze — bo żyję na stopie 200.000 franków rocznie, które muszę zdobyć coute que coute...

Rzemiosło — czy sztuka?

Wszystko jedno, byleby żyć, i jaknajlepiej... A że mu się to udawało, dowodem olbrzymia popularność, jaką cieszył się u współczesnych, którzy przekazali zresztą to zainteresowanie aż po dzisiejsze czasy. Wyrywano sobie z rąk do rąk jego książki, rozrywano go w towarzystwie i rząd nawet, pragnąc snać wynagrodzić Dumasa za tą niezwykłą popularność, którą zdobył piórem, wydelegował go do Algeru, „aby mógł dać publiczne świadectwo z tego co zastał i co chlubnie świadczy o poczynaniach zrealizowanych w ciągu 11-u lat przez Francję". Popłynął na specjalnym statku i był fetowany jak król. Podróż ta wywołała wprawdzie szereg protestów ze strony polityków ,a Dumas, broniąc się od zarzutów, twierdził, że dokonał rzeczy niezwykłych, gdyż jego to interwencji u beja Tunisu 12-u jeńców, a wśród nich oficerowie, zostało ocalonych od kary śmierci. Opinja publiczna uspokoiła się, więcej nawet, gdyż otwarcie stanęła w obronie swego ulubieńca, uważając, że taki człowiek, jak on, może wydać kilkadziesiąt tysięcy franków z funduszów rządowych i rozjeżdżać na statkach admiralskich. Wszystko mu uchodziło...

Dodać należy tylko jedno i okoliczność ta broni poniekąd Dumasa: pragnął pieniędzy, zaprzedał się im — lecz nie dla fortuny, jako takiej. Majątku nie pozostawił. Przepuścił wszystko, podobnie jak Chateaubriand i jak wielu artystów z tego bujnego okresu.

Legenda o cyganerji polega może nie na tem, iż artyści przymierali głodem, lecz raczej, że pracując dorywczo, zależnie od fantazji, lubili stale hulać i... nie znosili widoku wierzycieli ani komorników — władzy. No i umieli wycisnąć łezkę u bliźniego... A. F.



ZIOŁA LECZNICZE CHOLEKINAZA LECZĄ CHOROBY WĄTROBY, KAMIENIE ŻÓŁCIOWE, ZŁĄ PRZEMIANĘ MATERJI. BROSZURA DR. T. NIEMOJEWSKIEGO PRZY KAŻDEM PUDEŁKU. SKŁAD GŁÓWNY: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 5.

BORDOSKIE WINA
TURPIN
ŻĄDAĆ w HANDLACH WIN i RESTAURACJACH
REPREZENTACJA E. Langner i S-ka
SP. AKC.
Sklep własny
Marszałka Focha № 8, przy pl. Teatralnym

KARNAWAŁ

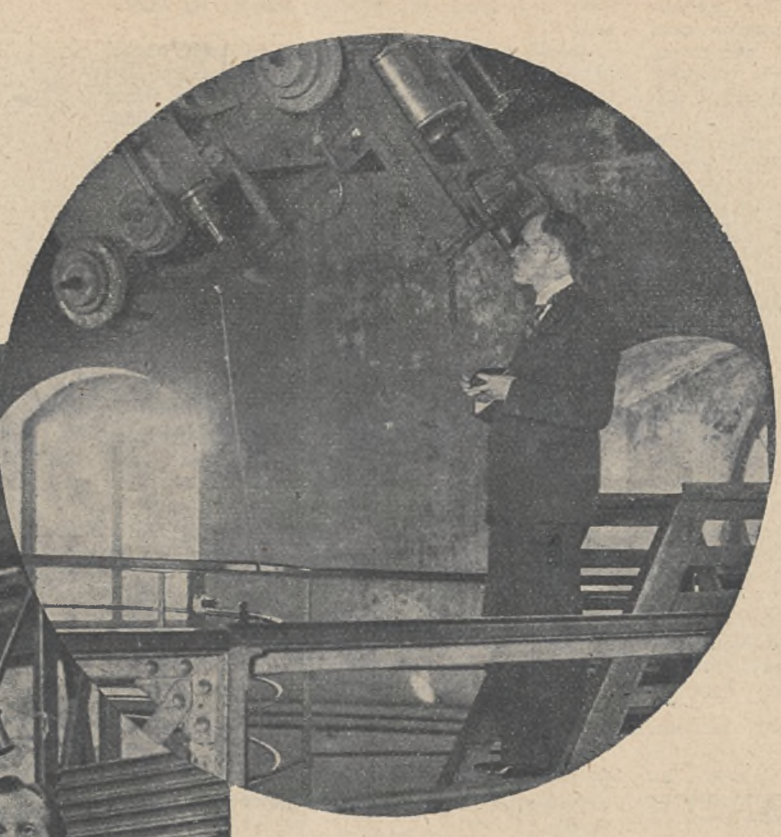
Przypominamy Szanownym Paniom, że najlepszym środkiem do usuwania zbytecznych włosów, bez golenia, jest idealny krem

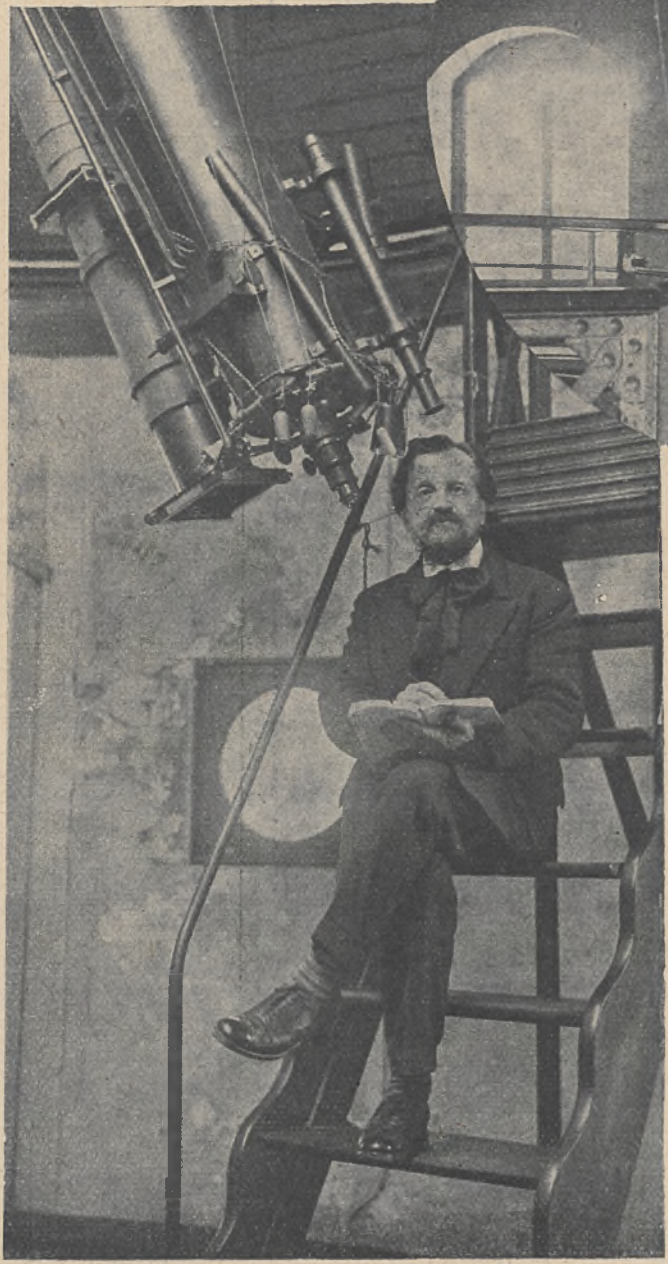
FEMY

z marką ochronną AMIS.

J. SAWICZEWSKI.

Ostatnie zdobycze astronomji a udział uczonych polskich





F. Baldet, astronom francuski z obserwatorjum w Meudon. Quenisset, wytrawny obserwator francuski (u dołu).

Ostatnie zdobycze astronomji! Temat wdzięczny, lecz jakże rozległy, jakby przez solidarność z rozmiarami wszechświata, podległego badaniom „królowej nauk". Z góry więc proszę Sz. Czytelników (nie zapominając, oczywiście, o Czytelniczkach) o wybaczenie mi nieuniknionej zwięzłości, zmuszającej do wyłowienia z powodzi postępu szeregu faktów, szczególnie uderzających.

Astronomja czasów dawniejszych, badająca wyłącznie stosunki ilościowe wszechświata, ograniczała się do pomiarów pozornych pozycyj ciał niebieskich oraz do studjowania ich biegów, przy pomocy wiernej swej towarzyszki — matematyki.

W połowie ubiegłego stulecia, potężniejąca fizyka, rzuca na szalę swój współudział w pracach astronomów i od tej chwili rok każdy przynosi zdumiewające postępy. Słabe oko ludzkie prawie zupełnie zastąpiono kliszą fotograficzną, która, jak wiadomo, ma zdolność gromadzenia wrażeń świetlnych z biegiem czasu, zdolność obcą naszym zmysłom.

Świetlny „goniec przestrzeni" — promień, biegnący od fantastycznie oddalonej gwiazdy, poucza nas dziś o stosunkach ilościowych i jakościowych, tam panujących. Gwiazdy, przestały być już dla nas wyłącznie punktami świetlnemi, a towarzyszki — planety — „punktami materjalnemi" mechaniki niebios. Znamy ich odległości, masę, gęstość, niejednokrotnie zaś rozmiary i przybliżoną temperaturę. Możemy sobie mniej-więcej zdać sprawę z warunków życia na planetach.

Porzucając ciasne, do niewielu miljardów kilometrów ograniczające się ramy naszego układu słonecznego, astronomja wyruszyła już za czasów genjalnego obserwatora Herschela (t. j. ku końcowi XVIII w.) na podbój układu gwiazdowego, którego, najbliższa nam przedstawicielka, potrzebuje ponad 3½ lat na przysłanie nam swego światła (co odpowiada podróży koleją przez 70 miljonów lat).

Wiemy dziś, że te, rozproszone w bezkresach, złote punkty gwiazd, to słońca, podobne naszemu; rozżarzone kule gazowe, otoczone, być może, też korowodem planet. Potwierdzamy wieszcze, genjalne przeczucia Giordana Bruno, który nie wahał się złożyć życia w ofierze dla obrony swych doktryn. Prace astronomów amerykańskich, najlepiej w świecie wyekwipowanych, odkryły nam nawet rozmiary oddalonych gwiazd, uważanych dotąd za nie dające się pomierzyć. Dzięki nowej, a pomysłowej metodzie dr. Michelson i dr. Anderson wyznaczyć zdołali rozmiary szeregu gwiazd, odkrywając nam m. in. istnienie olbrzymów, których średnica sięga 420.000.000 km. W sądowaniu głębin wszechświata przekroczyliśmy już daleko poza fantastyczny dystans miljona „lat światła". („Rok świetlny" jest przestrzenią, na przebieżenie której światło, obdarzone szybkością 300.000 km-sek., potrzebuje roku).

Fizyków zdumiewamy odkryciem towarzysza pięknej gwiazdy Syrjusz, która zdobi nasz nieboskłon podczas nocy zimowych. Satelita ten posiada gęstość 53.000 razy większą od wody (1 cm. sześc. tego ciała niebieskiego ważyłby na ziemi 53 kilo). Stoimy tu wobec t. zw. „białego karła".

Inną znów sferę badań stanowią gwiazdy, podlegające wahaniom blasku skutkiem obiegu ciemnego towarzysza wzgl. zmianom, zachodzącym w samej gwieździe. Przy t. zw. gwiazdach „typu zaćmieniowego" elementy zmienności ich blasku oraz widmo stanowią istną kopalnię wiadomości. Chodzi tylko o interpretację.

Jeśli mowa o ostatnich latach, to i te nie mogą się skarżyć na ubóstwo osiągniętych rezultatów pracy astronomicznej. Co rok kilka do kilkunastu komet, przeszło setka nowych małych planet — tylko w sąsiedztwie naszem.

Nadto kilka lat ubiegłych przyniosło nam m. in. w darze, informacje o temperaturach planet, rozwiewając nadzieje na możliwość istnienia życia organicznego na innych planetach, prócz Marsa i Wenery. Hypotetyczny pierwiastek mgławic „nebulium", przestał być tajemnicą; okazało się, że jego linje widmowe pochodzą od azotu i tlenu.

Zauważono też, że docierają do nas z przestrzeni międzygwiazdowych t. zw. „promienie kosmiczne" o niesłychanie krótkiej fali i wielkiej częstotliwości drgań, wielekroć przenikliwsze od promieni Roentgena.

Chimerycznym „kanałom" na Marsie, urągającym prawom perspektywy, a widzialnym tylko przez lunety słabe i liche, zadano nareszcie cios śmiertelny (obserwacje Bernarda, Antoniadi, van Biesbroeck, Graffa i in., doświadczenie Maundera). Zaliczmy je śmiało do kategorji złudzeń optycznych.

Spory krok naprzód reprezentują piękne badania teoretyczne nad termodynamiką gwiazd, prowadzone obecnie głównie przez znakomitych astrofizyków angielskich, Eddingtona i Jeansa. Ten ostatni dochodzi m. in. do wniosku, że wnętrza gwiazd posiadają temperatury, wahające się od 4.000.000 do 500.000.000 stopni.

Sławne odchylenie promieni świetlnych w sąsiedztwie silnych pól grawitacji, przewidziane przez Einsteina, może uchodzić za potwierdzone przez wyniki obserwacyj ostatnich zaćmień słońca.

Co się tyczy budowy wszechświata gwiazdowego jako całości, to tu zwracają na siebie uwagę prace szwedzkiego uczonego Lundmarka nad ruchem obrotowym naszego zbiorowiska gwiezdnego, odbywającym się w czasie ok. 170 miljonów lat.



C. W. Tombaugh, asystent obserwatorjum Lowella.

Sukces Einsteina, wspomniany powyżej, prowadzi nas do mniemania, że, zgodnie z teorją względności, wszechświat materjalny jest skończony. Jest to zresztą całkiem logiczne, gdyż liczba przedmiotów konkretnych nie może być nieskończona. Ale pocieszmy się po utracie marzeń o nieskończoności, badania bowiem statystyczne wykazują, że najpotężniejszy teleskop świata (2½ metra średnicy), który takich dokonał przewrotów w naszych pojęciach o wszechświecie, że bajeczne to narzędzie sięga w głąb „skończonego wszechświata" ledwie na 1/600 jego promienia. Dużo więc jeszcze zostało pola do pracy naszym następcom.

Trzeba trafu, że „najpopularniejszy" ewenement astronomiczny 1930 r., odkrycie nowej wielkiej planety „Pluton", zamyka się właśnie w układzie słonecznym, ostatnio nieco mniej budzącym zainteresowania wśród fachowców.

Przypominamy, że do końca niemal XVIII wieku przyjmowano za starożytnymi, iż planeta Saturn jest ostatnią rubieżą królestwa słonecznego. Wielkiemu Herschelowi przypadło w udziale odkrycie (na drodze obserwacji wizualnej) dalszej planety — Urana. Badania teoretyczne nad ruchami tegoż wykazały po szeregu lat odchylenia, pochodzące od ciała jeszcze dalej od słońca położonego. Zainteresowany tem młody astronom francuski, Le Verrier, bierze się śmiało do dzieła i w r. 1847 odkrywa „na końcu pióra" planetę poza Uranem — Neptuna. Bardzo przewidujący odkrywca wyraził mniemanie, że trudno przyjąć Neptuna za kres. Czasy ostatnie przyznały mu rację.

Bogaty dyplomata amerykański, Percival Lowell, nie zaniedbując w swem prywatnem obserwatorjum w Flagstaff (Arizona, U. S. A.) badań Marsa, prowadził obok nich żmudne rachunki, by wyjaśnić drobne zakłócenia ruchu Urana, nie wytłomaczone wpływem Neptuna. Przeciwnościom zrazić się nie dawał, w pracy uporczywie trwał. Zmarł, przekonany o istnieniu planety pozaneptunowej, dla której podał nawet przybliżone elementy jej drogi. Mało się tem interesowano; ale oto 14 marca r. ub. obiegła świat depesza, donosząca o odkryciu dn. 21 stycznia tegoż roku, w obserwatorjum Lowell „planety transneptunowej". Odkrycia dokonał na kliszy młody asystent C. W. Tombaugh, amator-astronom, oddawna już z zamiłowaniem obserwujący niebo narzędziami własnej roboty (fig. 1). Nową planetę śledzono starannie w obs. Yerkes, w Heidelbergu, w Juvisy, gdzie Quenisset zdołał ją sfotografować niewielkim objektywem i t. d. Wielka luneta w Meudon pozwoliła na obserwacje wizualne, których dokonał p. Baldet. Nową planetę nazwano „Pluton" (PL — Percival Lowell).

Ponieważ, skutkiem jej bardzo powolnego ruchu, wszystkie dotychczasowe metody obliczeń zawiodły, przeto prof. T. Banachiewicz (Kraków) oraz pp. Esclangon i Stojko (Paryż) wypracowali „ad hoc" nowe metody, stanowiące niemały postęp na drodze rozwoju astronomji teoretycznej. Nadto, pierwsze wogóle obliczenie drogi Plutona jest dziełem prof. Banachiewicza.

Pluton przesuwa granicę układu słonecznego z 4½ na 6 miljardów km., obiega słońce w 250 lat i zbliży się doń najbardziej w r. 1986, przeciętnie pozostając odeń 40 razy dalej, niż Ziemia.

Sensację w r. 1930-31 stanowi zbliżenie się do Słońca, w bardzo korzystnych warunkach, małej planety Eros, odkrytej na kliszy w roku 1898 przez Witta w Berlinie. Eros, będąc teraz (po Księżycu) najbliższy Ziemi, pozwoli nam zapewne na definitywne tym razem wyznaczenie naszej odległości od Słońca.

Niewątpliwie interesująca będzie dla czytelnika kwestja, jak dalece uczeni nasi, posiadający słuszne uznanie całego świata, przyczyniają się do wspomnianych wyżej postępów astronomji. Małe i stare narzędzia oraz nieustanne trudności finansowe wyłączają wszelką konkurencję ze szczęśliwymi kolegami.

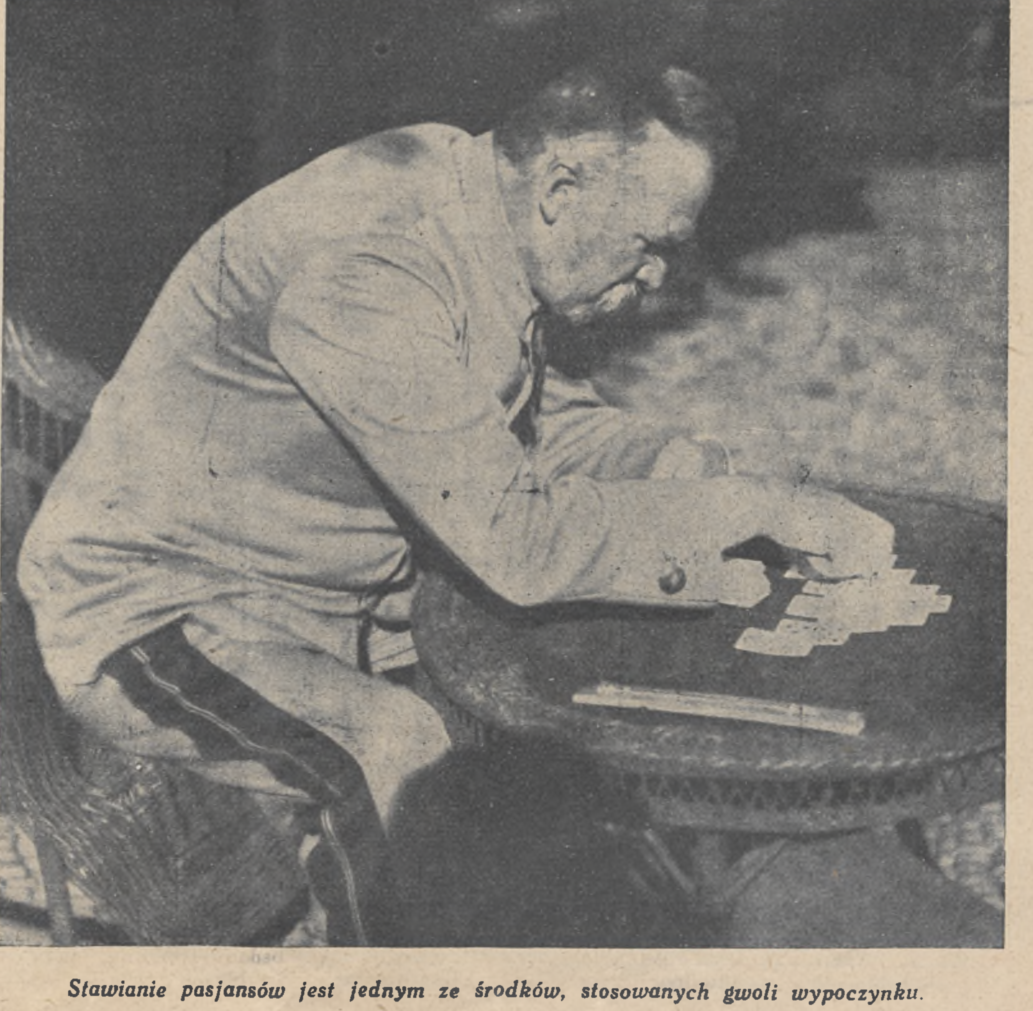
Zato tam, gdzie skromne środki wystarczają, uczony nasz pracuje za trzech, przedewszystkiem teoretycznie. Prof. Banachiewicz, dyrektor obserwatorjum krakowskiego, nietylko przyczynił się walnie do postępu prac nad Plutonem, ale przedewszystkiem stworzył całkiem nowe metody wyznaczania dróg planet i komet, zastosowane do rachunku maszynowego i otwierające przed astronomją rachunkową zupełnie nową epokę. Nadto, zainaugurował w Polsce uprawiane odtąd systematycznie obserwacje zakryć gwiazd przez Księżyc, w celu najściślejszego poznania ruchów naszego kapryśnego satelity.

(Dokończenie na str. 109-ej.)

Z wywczasów Marszałka na Maderze



Marszałek podczas swej codziennej przechadzki na Maderze.



Stawianie pasjansów jest jednym ze środków, stosowanych gwoli wypoczynku.

O uśmiech dziecka...

(Zdjęcia z jednej z ochronek wiedeńskich).

Wśród zgiełku wielkiego miasta troska o zdobycie kawałka chleba coraz bardziej zaciemnia horyzont. Głód i nędza wywołują swary pod niejednym dachem. Tu i ówdzie popychają do zbrodni.

Czyż trudno w tych warunkach o rozbudzenie najgorszych instynktów, które jak kąkol zachwaszczają bujność życia i tłumią pnące się ku słońcu, młode, wiotkie pędy?

I zdawałoby się, że niema na to rady i że jeśli dzień za dniem pomnaża trudności — pocóż dopuszczać, aby rodziły sie coraz to nowe rzesze przyszłych cierpiętników? Po to chyba, by później, gdy przejrzą na oczy i nabiorą sił — zerwały się do buntu?...

Lecz cóż to? Czyżby szał burzenia podstaw życia miał być tym jedynym etapem, do którego zmierzamy? A miłość, czyżby, doprawdy, nie było już miejsca na świecie dla tego budującego uczucia, choćbyśmy nawet musieli ją ściągać z podniebnych wysokości?



Kąpiel dla milusińskich jest zawsze miłą atrakcją.



Poranna toaleta.

I dlatego właśnie, iż życie uczyniło ludzi złymi, spływa na nich, od czasu do czasu, wielkie szczęście — istny cud przez przyjście na świat dzieciny. Szczęście to wdziera się jasnym swym promieniem do pysznych pałaców i do nędznych suteren. Trzebaby tylko chcieć — a osłodzi nam życie.

Jest coś niewinniejszego
nad aniołów białość
i coś poranniejszego
nad różany wschód...
Coś, co ma dziwną wielkość,
właśnie przez swą małość:
„Dziecko" się zowie ten cud.

Oto jakiemi słowy cud ten wita niezapomniany, zgasły przedwcześnie poeta, ś. p. Juljan Ejsmond, umieszczając je na wstępie zbiorku, poświęconego swoim synkom*) (z pięknego tego tomiku zaczerpnę w dalszym ciągu parę przepojonych miłością dla dziecka, wierszy).

Stał się cud... Łaska spłynęła z niebios... I wystarczy ręce do niej wyciągnąć i przygarnąć do siebie — a z pewnością odleci. Bo pamiętajmy, że

...wszystkie głosy świata
brzmiałyby jak głos przekleństwa
gdyby jednego głosiku
Zabrakło: szczebiotu maleństwa...

*) Juljan Ejsmond — Patrząc na moich synków — Nakładem Juljanowej Ejsmondowej. — Warszawa, 1931.

[Pa]miętajmy, że ktokolwiek zamknie swe serce przed uczuciem miłości dla d[zieck]a — „nie zobaczy tego, co na świecie jest najcudniejsze?

[Gotów] przygotowany jestem na natarcie oponentów, którzy postarają się przeci[wsta]wić mi zarzut, iż za wiele wkładając poezji, zapominam o twardej prozi[e życi]a. Któż dzieci od[ży]wia zapytają — kto dn[ia]ch zdobędzie łyżkę [stra]wy, kiedy ojciec [dzieci]atka, pracując obo[je] dla chleba, nie mog[ą] nie samym zabezpi[e]czyć bytu.

[Sz]ereg urządzeń społ[ecz]nych, powołanych [do] życia, zwłaszcza [w ost]atnich czasach potra[fi te]mu zaradzić. Najl[epszy] tego dowód dał [W]iedeń, gdzie w ciągu 4 lat wybudowano [ca]łą dzielnicę, t. zw. Sachsonfeldhorf, w której 200.000 ludzi [loko]wało się w 50.000 mieszkaniach, a dzia[tw]a korzysta z instytu[cyj] zapewniających ideał komfortu. (patrz numer 2-i).

Inne miasta na świecie — w tem i Warszawa — usiłują również [sk]orzystać sprzyjające inowacje ustawodawcze, wśród których troska o dzieci postawiona jest na czołowem miejscu. A chodzi przedewszystkiem o to, by matki, zmuszone warunkami życia do pracy zawodowej, mogły powierzyć swe dzieci instytucji, któraby zaopiekowała się maleństwami. Dla niemowląt więc istnieją żłobki, dla starszych ochronki, w których pozostają, aż do chwili oddania malców do szkół powszechnych.

Inowacje te powstają zapewne zbyt wolno i nie nadążają za przyrostem ludności.

Lecz i na to jest rada — stopniowe zmobilizowanie wszystkich kół społeczeństwa do służby publicznej dla dzieci, w pierwszym zaś rzędzie ludzi bezdzietnych. Obok tego winna wchodzić w grę inicjatywa prywatna, którą nietylko należy popierać, lecz również wywoływać.



Godzina medytacji. Każde dziecko ma swą osobną „celkę", w której niewolno mu puścić pary z buzi.

Oto jeden z licznych przykładów: znany rysownik francuski, Poulbot, którego rzeczy zdobią kolumny wszystkich niemal pism oraz płachty plakatów ogłoszeniowych — obrał sobie, za jedyny temat życie dzieci na ulicach wielkich miast, dzieci pozostawionych samym sobie. Wzruszające, a często nawet brutalnym okraszone realizmem legendy, podpisane pod rysunkami, zwróciły powszechną uwagę. Powstał na tem tle pewien neologizm językowy, polegający na nazwaniu podobnych dzieci „les petits Poulbot" i na urządzaniu co roku na Boże Narodzenie wielkiego festival'u, na rzecz tysięcy malców.

Poulbot wywołuje uśmiech na znękanej twarzy malca, uśmiech wszechpotężny i uśmiech miłości dla nich, dorosłych. I o to właśnie chodzi...

Jest podłość i jest rozpacz i troska, i żal...
Są złe siły dokoła i jest moc zdradziecka,
Co więdnąć każe kwiatom, ptaki pędzi w dal...
Moc tę zwycięża jedno tylko — uśmiech dziecka...

Er.



„Izba chorych" również nie próżnuje.

J. MISIEWICZ.

Zwiastuny kradzieży

Właściwie rzecz biorąc, feljeton niniejszy możnaby zaopatrzyć tytułem: „Jak się ustrzec od kradzieży". Jeśli jednak tego nie uczyniłem, to dlatego, aby nie wzbudzić przypuszczenia, że rady, następujące po tak szumnym tytule, będą równie skuteczne, jak owa sławna wskazówka, że aby się szybko wzbogacić, wystarczy postarać się o dobre zarobki, ograniczając równocześnie wydatki. Miałem pozatem jeszcze ten wzgląd na uwadze, że nie jest moim celem omówienie tu wszystkich środków, jakie mogą przyczynić się do zabezpieczenia od kradzieży. Przedmiotem bowiem niniejszych rozważań będzie tylko szereg objawów zewnętrznych, które mogą nam nasunąć przypuszczenie, że planowana jest kradzież na naszą szkodę, przestrzec nas w ten sposób, a przez to pobudzić czujność.

Okradzenie mieszkania nie jest rzeczą prostą. Czynność to zbyt złożona, zbyt ryzykowna, żeby złodziej ważył się ją przeprowadzać bez przygotowania i bez skrupulatnego przemyślenia. Aby zdecydować się do akcji, złodziej, musi mieć przedewszystkiem jakieś widoki, że zastanie w danym momencie mieszkanie puste i że na razie nie grozi powrót jego mieszkańców. W obliczu drzwi, broniących wejścia do mieszkania, złodziej musi mieć albo klucze zgóry dorobione, albo conajmniej tak dobrze zapoznać się uprzednio z rodzajem zamków, że otworzenie ich sprowadza się do manipulacji momentalnej. Po wtargnięciu do mieszkania nie wolno tracić drogocennego czasu na ślepe poszukiwania wartościowych rzeczy: jeśli chodzi o komodę, jest rzeczą ze wszech miar wskazaną, aby złodziej zgóry wiedział, że takowy przedmiot jest w drugiej czy trzeciej szufladzie od góry; jeśli w grę wchodzą pieniądze, przemyślnie ukrywane w pończosze, dobrze jest, gdy wie, że jedna z pończoch, złożona w szafie, jest wprawdzie bez porównania bardziej ponętna, niż efektowna, ale zato pusta w swej treści, szkatułka. To wszystko jednak wymaga uprzedniego zebrania informacyj.

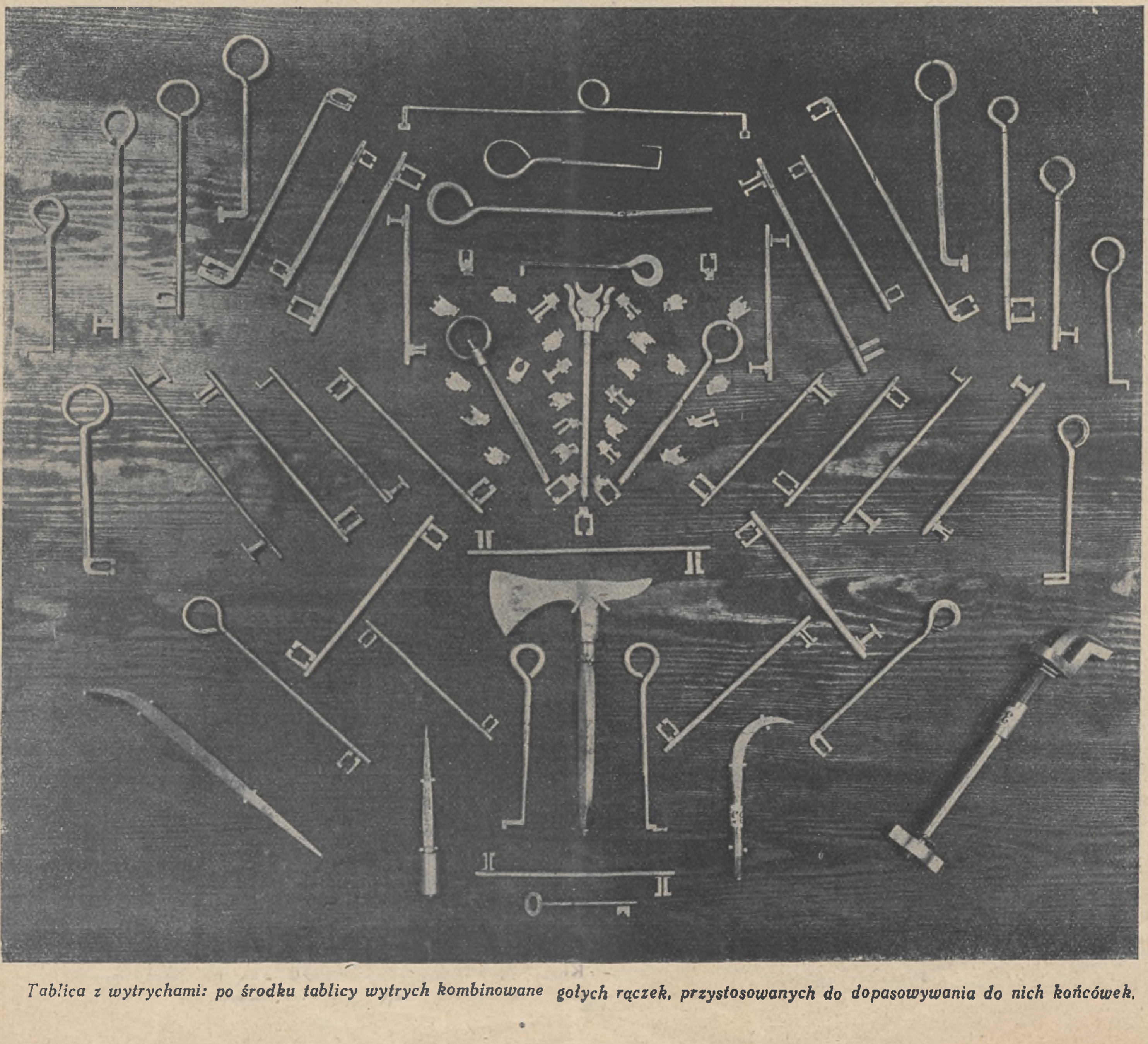
Badania tego złodziej sam nie przeprowadza, jako że przez tak nierozważne afiszowanie się zbyt wieleby ryzykował, że zostanie po kradzieży rozpoznany. Jeśli to jest „as" złodziejski, wówczas stać go na pomocników, zarówno pod względem pieniężnym, jak i w znaczeniu autorytetu, którym z łatwością przyciągnie wspólników — aby użyć do tego celu pomocników podrzędnych. Jeśli to jest początkujący, lub przeciętny złodziejaszek, czyli t. zw. „średniak", to zazwyczaj woli znaleźć sobie jakiegoś „wyjadacza", który nie parając się rzemiosłem, złodziejskiem bezpośrednio, chętnie podejmuje się roli organizowania wypraw. Jest to rzecz nawet wygodna, jeśli się zważy, że ten, swoistego rodzaju impresarjo, obmyśli za niego, gdzie mogą być najlepsze szanse dla jakiegoś występu, zbada szczegółowo warunki lokalne, ułoży cały program występu, dostarczy, w razie potrzeby, lepszych narzędzi, zamówi dla zbycia spodziewanego łupu pasera, przygotuje przezornie kryjówkę do przyczajenia się po kradzieży, a nawet bilet kolejowy, na wypadek potrzeby natychmiastowej ucieczki i t. d. Za trudy swoje zapewni sobie bądź odpowiedni udział w zyskach, bądź zgóry pobierze określoną kwotę od złodzieja, który w tym wypadku bierze na siebie całkowite ryzyko powodzenia.

Tak czy owak, bez względu na to, czy przygotowania przeprowadza podrzędny pomocnik, czy wykwalifikowany organizator — procedura, poprzedzająca kradzież, jest jednym z jej słabych punktów. Mają bowiem czynności przygotowawcze tę niemiłą cechę, że trzeba je przeprowadzać w drodze wywiadów, podczas których nie tak trudno zwrócić na siebie uwagę. Oczywiście, że nie sposób podać generalnej recepty na charakter objawów, które są zazwyczaj zwiastunami przygotowywanej kradzieży. Podanie jednak objawów najbardziej typowych będzie tu wyliczeniem dostatecznem.

Każdy żebrak, nawiedzający z pokorą mieszkanie, może być w rzeczywistości informatorem złodziejskim, który przed zastukaniem do drzwi podda ich zamknięcia pełnym znajomości oględzinom. Rzekomy kominiarz, który zgłosi się dobrotliwie dla obejrzenia luftów, może mieć w gruncie rzeczy na względzie dokładne poznanie rozkładu mieszkania. Młodzieniec, wystający na schodach godzinami z kucharką sąsiadów, nie koniecznie musi pałać do niej manifestowanym w ten sposób afektem; lecz bywa informatorem złodziejskim, który w ten sposób obserwuje, kiedy domownicy upatrzonego mieszkania mają zwyczaj je opuszczać.

Jakaś kobieta, dopytująca się o Franię, podczas gdy w danem mieszkaniu jest służąca Józia, nie koniecznie musi być ofiarą pomyłki, za jaką się chce wydawać. Nie jeden rzekomy wysłaniec elektrowni, zgłaszający się dla obliczenia licznika, mógłby się znaleźć w prawdziwym kłopocie, gdyby dla pewności zapytano o legitymacje.

Te i tym podobne sztuczki stanowią sposoby stosowane przez tak zw. wywiad zewnętrzny. Dla przygotowania kradzieży stosowany jest jednak ponadto t. zw. wywiad wewnętrzny, polegający na nawiązaniu kontaktu z kimś z domowników. Przedstawiane na ekranach filmowych „czarne charaktery", wciskające się do porządnych domów za zwyczaj pod maską miłych pretendentów do ręki córek, a czyhający w gruncie rzeczy na wykrycie schowka, jakiejś bajecznie cennej kolji, o wiele



Tablica z wytrychami: po środku tablicy wytrych kombinowane gołych rączek, przystosowanych do dopasowywania do nich końcówek.

częściej występują w filmach niż w życiu, abyśmy mieli poświęcać im więcej miejsca. Gorzej rzecz się ma ze służbą domową, która nawet nieświadomie może stać się narzędziem złodziejów. Kucharka, lokaj czy pokojówka nie koniecznie musi być w zmowie ze złodziejami, aby dostarczyć im cennych, a dla swych chlebodawców zgubnych informacyj. Znajomość „sercowa", pogawędki w maglu, spotkania w sklepiku, wieczorynki u dozorcy — oto okazje, w trakcie których może służba wypowiedzieć niejedną cenną informację i to bynajmniej nie ze złej woli, a jedynie wskutek przyrodzonego lubowania się w opowiadaniach o chlebodawcach. Dlatego też trzymanie się zasady, że im mniej wie służba o sprawach i zwyczajach chlebodawców, tem lepiej — winno być pierwszem przykazaniem dla każdego szanującego swą własność obywatela.

Tę samą zasadę należy stosować i wobec kluczy. Oczywiście, jeśli służąca jest w zmowie ze złodziejami, to żadne środki zaradcze nic tu nie pomogą: prędzej czy później, w ten czy inny sposób znajdzie ona okazję do pochwycenia chowanych przed nią kluczy i zrobienia z nich odpowiednich odcisków. Chodzi jedynie o uniemożliwienie służącej **nieświadomego udostępnienia** kluczy informatorom złodziejskim, chodzi o zabezpieczenie się od takich wypadków, jak położenie przez nią kluczy na stole w czasie odwiedzin jakiejś znajomej, jak zupełnie naturalne pozostawienie kluczy w palcie, ulokowane na wieszaku czyjegoś mieszkania i t. p. Najprostszem po temu zabezpieczeniem się jest niepowierzanie służącej kluczy wogóle. Oczywiście jest to trudne, nie zawsze bowiem można unormować wychodzenie z domu w ten sposób, aby opuszczać mieszkanie wówczas, gdy nie potrzebuje wyjść służąca i powracać równo ze spodziewanym jej powrotem. Jeśli więc jest to w pewnych wypadkach niemożliwe, to raczej bezpieczniej jest w tych razach poprzestać na zamknięciu drzwi tylko na część zamków, dając służącej tylko część kluczy, niż zamknąć skrupulatnie, co jednak pociąga za sobą konieczność powierzenia wszystkich kluczy.

W ogólności jest rzeczą najbardziej pożądaną, aby służąca jak najmniej komunikowała się z osobami postronnemi. Nie sposób, oczywiście, zabronić jej obcowania z ludźmi wogóle, nie zaszkodzi jednak, jeśli zakres tych stosunków będzie bardziej ograniczony. I tu się wyłania kwestja „kuzynów" czy już szczerzej nazywanych przez służące „narzeczonych". Ostatecznie, naogół rzecz biorąc, służąca jakiegoś „fatyganta" mieć musi, chyba że jest osobą leciwą — chociaż i to nie zawsze jest czynnikiem decydującym. Zachodzi też wielkie pytanie: czy lepiej zezwalać na przychodzenie takiego „kawalera" do domu, z ciężkiem westchnieniem przebaczać mu te wyłomy w zapasach domowych, jakie czyni podczas swych wizyt, ułatwić mu w pewnym stopniu penetrację lokalu, ale za to mieć do czynienia tylko z jednym „kawalerem", którego można mieć przytem ciągle na oku — czy też zastrzec się kategorycznie przed tego rodzaju wizytami, ale zato być przygotowawnym na znajomości służącej poza domem, nie wiedzieć z kim i nie wiedzieć z iloma.

Jest to już kwestja indywidualnego wyczucia. Podobnie, jak kwestją takiegoż wyczucia jest sposób korzystania z całokształtu powyżej przytoczonych wskazówek: jeśli po wysłuchaniu ich, w każdym żebraku zacznie się dopatrywać złodziejskiego wywiadowcy, w każdej służącej — domowego szpiega złodziejskiego, w każdym jej adoratorze — rzezimieszka, to możecie się wreszcie nabawić, takiego podenerwowania, takiego zatracenia poczucia rzeczywistości, że gdy nastręczy Wam się objaw, prawdziwie dający do myślenia, wrażliwość Wasza będzie już na tyle wyczerpana, że nie zwrócicie nań żadnej uwagi. Tego wystrzegać się należy jaknajusilniej.



Ostatnie zdobycze astronomji a udział uczonych polskich

(Dokończenie ze str. 105-ej.)

Dyrektor obs. Uniw. Warsz., prof. M. Kamieński, członek honorowy „Royal Astronomical Society", od szeregu lat śledzi niestrudzenie i ze zdumiewającą precyzją bieg perjodycznej komety Wolfa, co było niejednokrotnie przedmiotem podziwu zagranicy.

Prof. Cz. Białobrzeski, już przed Eddingtonem pracował owocnie nad teorją ustroju gwiazd, odkrywając wielkie znaczenie ciśnienia promieniowania. Dyrektor obs. wiedeńskiego, rodak nasz, prof. Graff, jest astrofizykiem światowej sławy; jego prace nad fotometrją gwiazd i powierzchniami planet są wzorowe.

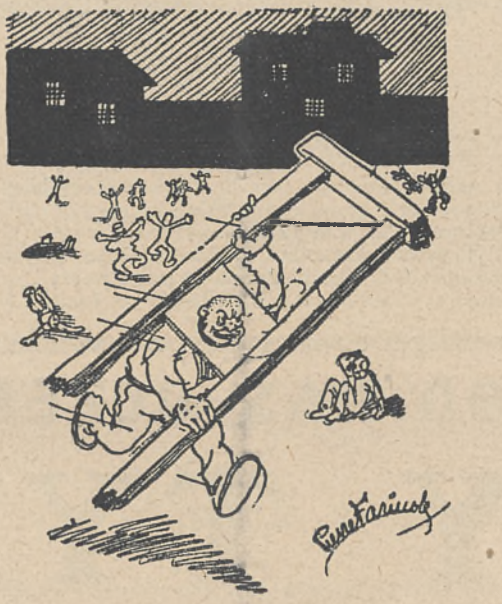
Prof. Dziewulski zorganizował w obserwatorjum wileńskiem fotograficzną fotometrję gwiazd i zajmuje się gorliwie bardzo ważnemi badaniami budowy układu gwiazdowego.

P. L. Hufnagel, pracuje (częściowo w Szwecji i Ameryce) nad statystyką gwiazd. Młodzi uczeni (pp. J. Gadomski, E. Rybka, K. Kordylewski, J. Mergentaler, J. Pagaczewski i inni) pracują owocnie, a nawet „odkrywczo" nad fotometrją gwiazd, gdzie możemy skutecznie konkurować z zagranicą. A gdy damy uczonym naszym lepsze narzędzia pracy i warunki bytu, gdy ich uwolnimy od rujnującej zdrowie dodatkowej pracy zarobkowej, wtedy pokażą światu wszystkie swe niewyzyskane dotąd całkowicie możliwości.

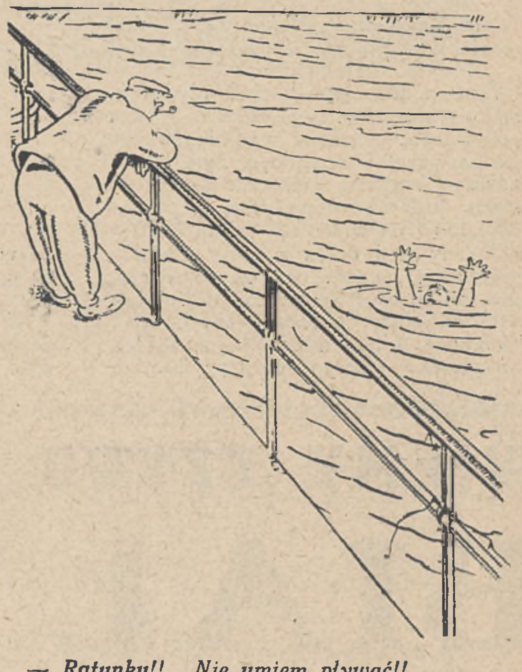
Pewien jestem, że niejeden czytelnik pomyśli teraz: „Ślicznie. Dużo faktów, pracy i wysiłku. Ale co kto z tego ma?" Odpowiem: dzięki astronomji znamy wielkość i kształt Ziemi, możemy zdejmować dokładne mapy, ściśle wyznaczać czas i prowadzić okręty po bezmiarach oceanów. To materjalnie. A duchowo, astronomji a przyczynia się do pogłębienia światopoglądu, do postępu moralnego, bez którego kultura materjalna jest barbarzyństwem.

Człowiek o tyle tylko zna siebie, o ile zna naturę, a astronomja bada naturę *całą*, t. j. wszechświat, który cały byt fizyczny zamyka w swych olbrzymich ramionach.

Humor



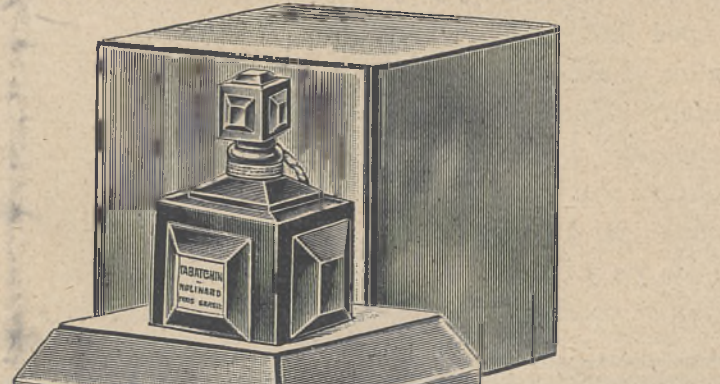
Też sport swojego rodzaju.
(L'humeur de vacances.)



— Ratunku!!... Nie umiem pływać!!...
— I ja też nie umiem. Ale przynajmniej nie drę się tak...

LE PARFUM DES PARFUMS

Gatunek odpowiada zupełnie swej nazwie. Jest to szczęśliwe połączenie kwiatów, wybranych między najdelikatniejszymi, jakie egzystują.

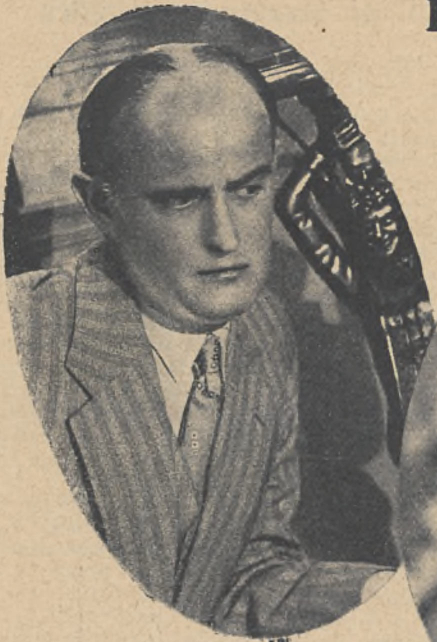


Wyłączni zastępcy na Polskę oraz Wolne Miasto Gdańsk:

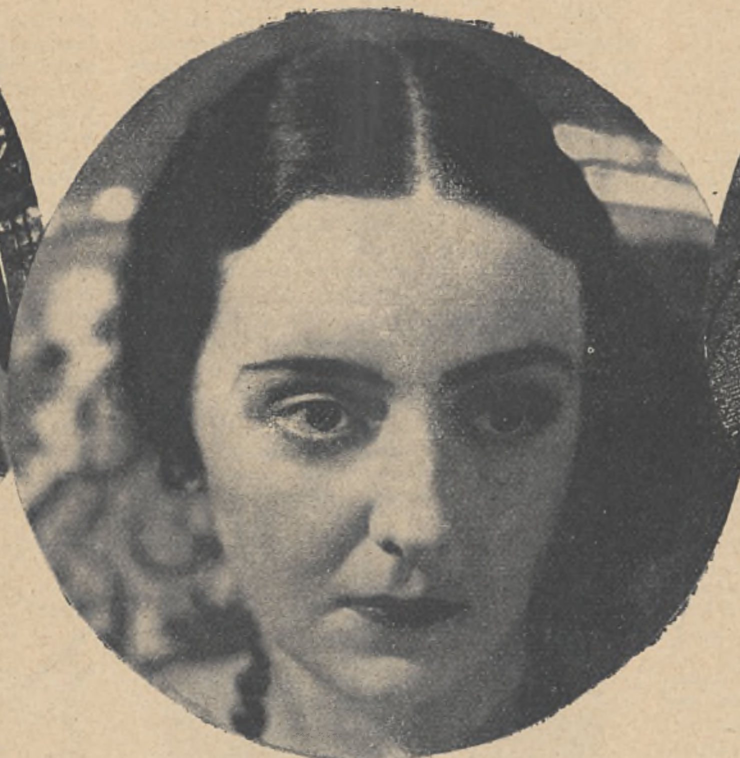
K. & A. MIKLASZEWSKI

KRAKÓW, PL. DOMINIKAŃSKI 1, TEL. 141-08.

Impresje teatralne



Biegański, jako „uwodziciel".



Lindorfówna, jako „ofiara" „Rozkoszy uczciwości" w Nowym.



Brydziński, jako „naprawiacz".

Teatr Narodowy: „Piękne Polki", komedja w 4 aktach Stanisława Miłaszewskiego.

Zawsze miło jest słuchać płynnego, melodyjnego, jędrnego wiersza Miłaszewskiego, misternie wydjalogowanego, barwnego i soczystego. Tym razem uderzył w strunę rapsodów napoleońskich, których romantyczna tradycja wiecznie trwa w sercach polskich. Nieubłagany pęd czasu z coraz większą szybkością oddala nas od owej ery, tem milej więc powracać do niej z zamiłowaniem badacza antyków i strzepując kurz z pożółkłych kartek wskrzeszać dawne obrazy, którym patyna nadała swoistego powabu. Ciekawe, czy bieg czasu zdoła upoetyzować i naszą epokę? Czy za sto lat również będziemy „poetyczni"?... „Chi lo sa?".

W stylowych dekoracjach mistrza Drabika „aktorowie teatru Narodowego" (jak głosiły dawne afisze) stworzyli spektakl bardzo jednolity i utrzymany we właściwym tonie. Węgrzyn dał piękny wysiłek reżyserski i aktorski. Najbardziej „stylowy" był Śliwicki. Z godnością reprezentowała „piękną Polkę" Zahorska, podczas, gdy Robert-Jarnińska czyniła to poczciwą frywolnością, Gromnicka ze szczerym zapałem, a Ankwiczówna, Zawadzka i Dobrowolska z nieodpartym powabem. Ankwiczówna zagrała tak świetnie, że można się stanowczo domagać dla niej ról odpowiedzialniejszych. Łuszczewski i Solarski ratowali werwą zbyt szkicowe role, Socha zaś cieszył się powodzeniem u całej płci pięknej na scenie.

Henryk Liński.

WIEMY CZEGO OD NAS OCZEKIWANO, ALE TEŻ

BIAŁY TYDZIEŃ

NIE DAWAŁ JESZCZE TYLU I TAKICH OKAZYJ. OTO NIEKTÓRE:

Nansuk biel. wys. gat. za sztuczkę 17 m. norm. 48 zł. — zł. 36.50
Nansuk pościel. wys. gat. 90 cm. — 17 m. (44 zł.) — teraz zł. 34.50
Madapolam cienki — 17 m. norm. 40.40 — teraz zł. 30.80
Półpłótno prześcieradłowe 140 cm. za 1 m. (3.10) — zł. 2.50
Ręczniki kąpielowe — normalne 2.25 — teraz — zł. 1.55
Ręczniki lniane ze szlakiem (3.50 zł.) — zł. 2.50
Koperta pod kołdrę madap. 200 × 140 (15 zł.) — 11.25
Koszula damska madap. (3.60) — teraz zł. 2.55
Combinaison jedwabne trykotowe (20 zł.) — zł. 13.70
Koszula męska dzienna, zefirowa (17 zł.) — zł. 13.20

Szczegółowe opisy i ilustracje — w katalogu BIAŁY TYDZIEŃ, który wysyłamy na prowincję bezpłatnie za nadesłaniem wypełnionego obok kuponu.

Wyciąć i przesłać!

Proszę o bezpłatne przysłanie katalogu BIAŁY TYDZIEŃ

Imię . . . .
Nazwisko . . . . . .
Miejscowość . . . . . .
Poczta . . . .
Województwo . . . . . .

„7 Dni".

BRACIA JABŁKOWSCY

WARSZAWA — BRACKA 25

Trochę uśmiechu...

PIERWSZY ZAROBEK.

Zapytano pewnego razu Marka Twaina kiedy i jakim sposobem zarobił pierwszy grosz.

— To prawdziwa, doprawdy, historja. — Odpowiedział humorysta. — Oto bowiem w szkole, do której uczęszczałem, będąc małem dzieckiem, mieliśmy jedynego w swoim rodzaju nauczyciela. Wyróżniał się z pośród innych pedagogów zdumiewającym systemem wychowawczym: za najmniejsze przewinienie oddawał do wyboru — albo zostać zbitym publicznie, przed całą klasą, albo wykupić się sumą 5-u dolarów. Przyszła kolej i na mnie. Zwierzyłem się ojcu ze swego kłopotu i rzecz prosta dostałem od niego 5 dolarów. I ta suma właśnie stanowi mój pierwszy zarobek, gdyż pieniądze schowałem do kieszeni i wybrałem grzanie...

NASZE DZIECI.

Mała Haneczka jest córeczką literata, który, rzecz prosta, poświęca więcej czasu walce z trudnościami materjalnemi, niż uprawianiu swego talentu. Niema go w domu całemi dniami, a mamusia, jak to często bywa, oddaje się z zapałem bieganiu po kominkach. To też, w większości wypadków Haneczka odbiera telefony i jeśli nie poznaje głosu, oświadcza prosto z mostu:

— Tatuś i mama są nieobecni, a meble należą do babuni...

*

Pewnego razu Haneczka wyraziła życzenie otrzymania na urodziny królika. Koniecznie — białego królika! A ojciec, jako że literat, ma gołębie serce i gotów jest na wszystko, byleby starczyło nie tyle pieniędzy — ile kredytu. Przyniósł więc królika, białego jak śnieg i zgóry się cieszył, nieborak, z radości Haneczki. Lecz, niestety, któż może zadowolić kaprysy płci pięknej, choćby nawet kobieciątko miało 6 latek, bo oto Haneczka stanęła przed klatką, spojrzała raz i drugi — i... wnet się rozpłakała:

— Nie chcę tego królika! Ja chcę mieć p r a w d z i w e g o, takiego na kółkach!...



W ub. miesiącu odbył się Ogólnopolski Zjazd Rady Federacji Zrzeszeń Przedstawicieli Hnadlowych Rzeczypospolitej Polskiej. Siedzą w pierwszym rzędzie (od strony lewej): p. Paweł Michalski, wicedyrektor Dep. Podatkowego Ministerstwa Skarbu, p. Tadeusz Sągajło, naczelnik Wydziału Handlu Wewnętrznego Ministerstwa Przemysłu i Handlu, dr. Franciszek Doleżal, wiceminister Przemysłu i Handlu, p. prezes Jerzy Meyer. Siedzą w drugim rzędzie: p. Wacław Ostrowski, dyr. Izby Handlowej Polsko-Francuskiej, p. konsul Dostal z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, p. Henryk Drozdowski, dyr. Izby Handlowej Polsko-Węgierskiej, p. Stanisław Łęgowski, naczelnik Dep. Morskiego Ministerstwa Przemysłu i Handlu, p. Wenzel, dyr. Stowarzyszenia Kupców Polskich, p. Wł. Cwikiel, sekretarz Stowarzyszenia Kupców Polskich, p. Krzyżankiewicz, dyr. Targów Poznańskich, konsul Maciejewski z Aten, dyr. F. Suchanek z Poznania.

Przypominamy Szanownym Czytelnikom o uiszczeniu prenumeraty za kwartał 1

W KARNAWALE



wzorowe uczesanie jest podstawą powodzenia. Zapewnia je beztłuszczowa **pomada do włosów**

gomina argentine

PARIS.

Żądać wszędzie!





PIERRE MAC ORLAN. 18



Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal Motyli", zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter — antykwarjusz, Marja - Chantal Fosseuse — śpiewaczka, Lucjan Flahaut — dziennikarz, Ludwik Fraipont — chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry. Śledztwo toczy się powoli, przyczem sprawa wikła się coraz bardziej tajemniczo.

Marja-Chantal wyskoczyła z łóżka, przekręciła klucz w zamku i podeszła do okna. Odsunęła delikatnie aksamitne portjery i wyjrzała na ulicę. Zobaczyła na przeciwległym chodniku jakiegoś człowieka, który wyglądał na atletę ciężkiej wagi. Człowiek ten miał duży, jasny kapelusz filcowy, wyrobu amerykańskiego. Oddech Marji-Chantal zasnuł szybę mgłą. Wytarła ją i zobaczyła męża, który podszedł do nieznajomego. Obaj mężczyźni oddalili się, nie podawszy sobie rąk.

— To Hiszpan — powiedziała głośno Marja-Chantal.

Ubrała się pośpiesznie, nie zdając sobie sprawy, w jakim celu to czyni. Mogła być dziesiąta godzina rano. Eligjusz Mutter na pewno otworzył swój sklep.

✱

Nie mam grosza — powiedział Juan Hortilopitz. — Myślałem, że pomożesz mi przebiedować tutaj kilka dni. Mam opłacony przejazd do Buenos-Aires. W Barcelonie nie można już wytrzymać. Sądziłem, że będę mógł pożyczyć w Paryżu kilka tysięcy franków, aby nie przyjechać tam z pustemi rękoma. Andrzej Bossette zamknął swój bar. Zwiał z kasą Stowarzyszenia. Jeśli pojadę do Ameryki, dokąd nie powinienem wracać, to tylko poto, żeby go zabić przy pierwszej okazji.

— Ja sam jestem w nędzy — odpowiedział Saint-Thierry. — Wszystko się przede mną zamknęło. Nie mam już na utrzymanie mojej żony, Marji-Chantal.

— Nie możemy pokazywać się razem — rzekł Hortilopitz. — Ulice paryskie pełne są zdrady. Żegnaj...

— Jeślibyś mógł ściągnąć mnie do San-Paolo — mówił Saint-Thierry — jestem gotów do wyjazdu. Będziemy mogli znów pracować razem.

Juan Hortilopitz skrzywił się.

— Nie licz na tę podróż.

Obejrzał się i skręcił w uliczkę na prawo, nie interesując się swoim towarzyszem.

Saint-Thierry chciał pójść za nim. Stał kilka minut na chodniku, z rękoma w kieszeniach zniszczonego płaszcza, z głową, opuszczoną na piersi.

Pomimo zimna szedł powoli w kierunku Continental Hotelu. Ojciec Rebicant dał mu klucz od pokoju, mówiąc, że żona wyszła przed chwilą.

— Trzeba o mnie pomyśleć, panie Saint-Thierry — dodał — już mi pan jest winien za cały tydzień.

— Jutro panu zapłacę — odparł Saint-Thierry, ścigając myślą Marję-Chantal.

Wszedł do pokoju i stanął przy kaloryferze, nie zdejmując płaszcza, ani kapelusza. Przysłuchiwał się każdemu szelestowi. Po chwili rozległy się na korytarzu szybkie drobne kroki. Poznał chód żony. Marja-Chantal otworzyła drzwi.

— Już wróciłeś? Dostałeś pieniądze? Trzeba zapłacić za pokój. Rebicant groził mi przed chwilą, że wyrzuci nas na ulicę.

— Jutro będę miał pieniądze.

— Wychodzę — powiedziała Marja-Chantal.

— Chciałbym, żeby było lepiej — tłumaczył się Szymon szczerze, tonem niewysłowionego smutku.

Marja-Chantal czuła, że gniew ją opuszcza. Rozłożyła na łóżku gazetę z przed dwóch dni. Szukała czegoś.

— Czytałeś to? — spytała, wskazując mu ręką artykuł.

Szymon rzucił spojrzenie na gazetę.

— Tak, wiem, Flahaut mówił nam o tem kilka dni temu w „Lisie". Policja natrafiła na jakiś ślad w Barcelonie. Już dawno podsunąłem Sedlair'owi tę myśl. Pokłóciliśmy się nawet z tego powodu. Stary jest skąpy i nie chciał dać na koszta podróży.

— Powinieneś pójść do niego i pokazać ten artykuł.

— Za późno...

— Może kapitan Juan Hortilopitz coś o tem wie...

— Co takiego? Co mówisz? Skąd... Kto ci powiedział?

Szymon, czerwony, jąkał się rozpaczliwie.

Marja-Chantal cofnęła się do drzwi. Trzymała rękę na klamce.

— Jedno słowo, a zawołam gospodarza.

— Oszalałaś. Nędza zmąciła ci myśli. To moja wina, ale cóż mogę poradzić. Od dwóch miesięcy bezskutecznie staram się o posadę. Flahaut jest podły. Eligjusz Mutter tak samo... Wszyscy mnie opuścili. Juan Hortilopitz, to stary przyjaciel. Ponieważ przejeżdżał przez Paryż, starałem się pożyczyć od niego dziesięć tysięcy franków. Nie udało się. To wszystko jest proste, ale tragiczne. Skąd wiesz, że Hortilopitz jest tutaj? Mów!

Podskoczył do niej.

Marja-Chantal otworzyła szybko drzwi. Rebicant zamiatał schody.

— Wejdź — powiedział Szymon.

Marja-Chantal zamknęła ostrożnie drzwi.

— Jesteśmy nieszczęśliwi — mówił Saint-Thierry. — Ale, moje biedne maleństwo, kto ci mógł o nim mówić?

— Dowiedziałam się bardzo prosto. Był tutaj wczoraj, podczas twojej nieobecności i ja go przyjęłam. Rebicant wyszedł.... nie było nikogo na dole. Wychodziłam właśnie, kiedy go spotkałam na korytarzu. „Czy p. Saint-Thierry mieszka w tym hotelu?" — spytał. Powiedziałam, że jestem jego żoną.

—Kiedy będę się mógł z nim zobaczyć?

— Mówiłam, że może cię zastać rano. Dziwię się, że nie przyszedł wcześnie. Doprawdy, powinieneś mieć więcej do mnie zaufania i nie kazać dawać sobie znaku gwizdkiem pod naszemi oknami.

— Juan Hortilopitz jest dziwakiem. Nie mówmy już o nim, skoro nie udało mi się nawet pożyczyć od niego pieniędzy.

Saint-Thierry włożył rękę do kieszeni i wysypał na łóżko garść monet i kilka banknotów.

— Zostało mi dwadzieścia osiem franków... Oto smutna rzeczywistość.

Marja-Chantal była zachwycona, że potrafiła mówić o Juanie Hortilopitzu, nie zdradziwszy Muttera.

✱

Po tej rozmowie, w ciągu której po raz drugi od swego ślubu Saint-Thierry uniósł się gniewem, nastąpiły smutne dni. Eligjusz Mutter zapłacił za pokój za ubiegły i bieżący tydzień. Saint-Thierry i jego żona odetchnęli, gdyż wszystko na świecie jest względne. Mieli zapewniony dach nad głową znów na dziesięć dni.

Marja-Chantal unikała rozmowy o Juanie Hortilopitzu. Usiłowania jej co do powrotu do dawnego zajęcia spełzły na niczem. Pewnej soboty zaangażowano ją na małą scenkę pod Paryżem. Ubrana w pożyczoną suknię, czuła, że umiera przy odgłosie gwizdów i okrzyków bezlitosnej publiczności. Dostała pięćdziesiąt franków za to, że wytrzymała to upokorzenie.

Ulica roztaczała przed nią swe zwodnicze przynęty. Marja-Chantal bała się samotności. Zdawało jej się, że jej zniszczone ubranie oddawało ją w moc policji obyczajowej. Nie śmiała przychodzić do sklepu Eligjusza Muttera. Czuła, że czyhał na okazję, aby otrzymać od niej zadośćuczynienie za długi Szymona. Kiedy Eligjusz Mutter był z nią sam, brał ją za rękę. Jego niebieskie oczy błyszczały jak oczy kota w nocy. Młoda kobieta odsuwała się od niego ostrożnie, ale stanowczo. Wtedy Eligjusz Mutter gasił złe błyski oczu, które Marja-Chantal porównywała do świateł Montmartre'u, przyciągających ludzi w poszukiwaniu przyjemności.

Mąż prawie z nią nie rozmawiał. Wychodził w południe, wracał nad ranem w zabłoconych butach, nie zawsze ogolony, w bieliźnie wątpliwej czystości. Kładł się bez słowa. Czasami Marja-Chantal budziła się nagle i otwierała szeroko oczy. Widziała wtedy, że Saint-Thierry patrzał na nią ciągle uporczywie.

W takich wypadkach Marja-Chantal nie spała już do świtu. Dawny film przesuwał się na ekranie jej spuszczonych powiek. Szpiegowała każdy ruch Szymona. Drżała ze strachu i nie mogła uciec, może właśnie skutkiem tego strachu, jaki wykrzywiał jej twarz.

O roli kremów w kosmetyce

Dawniej, zanim wiedza lekarska wyświetliła różnorodność właściwości skóry twarzy i jej potrzeb, zależnie od wieku i ujemnych wpływów zewnętrznych, posługiwano się uniwersalnemi kremami, których skuteczność nie różniła się wiele od perfumowanego masła. Z postępem zaś wiedzy dostosowała się wytwórczość kosmetyczna ściśle do indywidualnych wymogów, krocząc śladem lecznictwa. Zrozumie każdy, iż zbyteczny będzie krem ożywczy u osób młodych, z prawidłową cerą, jeśli chodzi tylko o ochronę jej przed szkodliwym wpływem zmian atmosferycznych. Do codziennego użytku, celem ochrony cery przed wszelkim wpływem zewnętrznym, przeciw łuszczeniu się skóry twarzy, chropowatości rąk i skóry ciała, polecam wytworny, acz tani krem: „Ultrasol" D-ra Lustra. Matowy krem „Mira" przeznaczony jest dla osób z prawidłową cerą, celem utrzymania soczystego naskórka, ożywczy zaś krem „Oxa" znajduje zastosowanie u osób z suchą lub więdnącą cerą. Tłusta właściwość cery wymaga pielęgnowania mleczkiem „Lityną" i proszkiem marmurowym „Miraculum".

Dr. Zenon B.



Kremem tak na dzień jak na noc jest

KREM NIVEA

bo tylko Euceryt, ten najważniejszy składnik Kremu Nivea, umożliwia skórze zupełne wchłonięcie kremu, nie pozostawiając po sobie żadnego połysku. *W dzień* chroni krem Nivea przed szkodliwem działaniem ostrego powietrza, uzupełnia naturalny tłuszcz skórny, przez wiatr i powietrze wysuszany i wyrównuje temsamem miękkość i elastyczność skóry. *W nocy* działa krem Nivea odżywczo i wzmacniająco na tkanki skóry, nadając jej wygląd młodociany. Kremu Nivea nie można niczem zastąpić! Nawet najdroższe kremy luksusowe nie zastąpią kremu Nivea, bo nie zawierają Eucerytu, środka spokrewnionego chemicznie z naturalnym tłuszczem skóry, na czem właśnie polega niezwykłe i skuteczne działanie Kremu Nivea.

Pudełka po zł. o.40 do 2.60, tubki po zł. 1.35 i 2.25

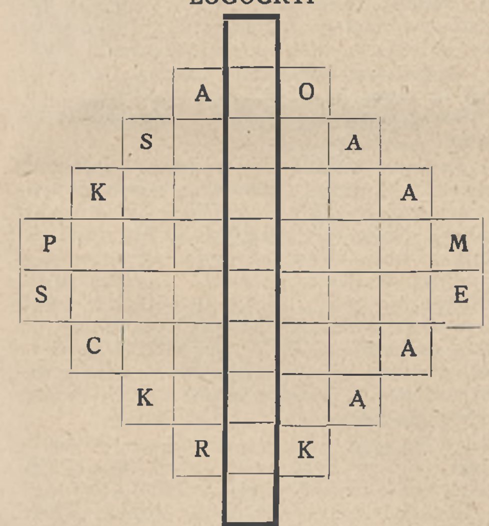
Wyrób krajowy firmy Pebeco, Sp. Akc., Poznań 10

Film, którego Marja-Chantal była jedynym widzem, łączył się dziwnie z wrażeniem, odebranem po telefonie męża. Widziała ciało zamordowanego staruszka i świadków ohydnej zbrodni, tańczących dziwny taniec dokoła trupa. W rzeczywistości była to gromada pajaców, którzy ożywiali się w pokoju zabitego. Saint-Thierry, Mutter, Flahaut i chłopiec garażowy, którego nazwiska już nie pamiętała, byli tylko pajacami. Jedynie ona posiadała duszę, maleńką, szczelnie zamkniętą duszę. I dlatego właśnie, że ona jedna była człowiekiem, czuła, że godzina jej śmierci nie była wcale daleka. Jej własna śmierć wydawała się jej logicznem zakończeniem tego filmu.

(D. c. n.)

Rozrywki umysłowe

LOGOGRYF



Kratki wypełnić literami według podanego znaczenia słów. Środkowy rząd pionowy utworzy słynne imię i nazwisko.

Znaczenie wyrazów:

1. Samogłoska
2. Kocham (w jęz. staroz.)
3. Uczta pogrzebowa
4. Przebieg życia i powodzenia
5. Prąd zwolenników słynnego filozofaf greckiego.
6. Oszuści
7. Słynny bokser
8. Dawne narzędzie wojenne
9. Okres czasu
10. Spółgłoska

KWADRAT MAGICZNY.

11	11	11	11
22	22	22	22
66	66	77	77
77	77	99	99

Z powyższych cyfr, po przestawieniu, uformować 16 liczb dwucyfrowych tak, aby utworzył się kwadrat magiczny, w których suma liczb w rzędach pionowych, poziomych oraz 2-ch wielkich przekątnych, stanowi jedną i tą samą liczbę. Przy odwróceniu kwadratu „do góry nogami" utworzył się ma taki sam kwadrat magiczny, przyczem należy wówczas czytać 2 jak 7, 7 jako 2, 9 jako 6 oraz 6 jako 9.

Za rozwiązanie tego kwadratu przeznaczamy do rozlosowania 2 książki beletrystyczne.

ORYGINALNY NAPIS PAMIĄTKOWY.

o	k	z	s	u	i	c	ś	o	ś	c	i	u	s	z	k	o
k	z	s	u	i	c	ś	o	K	o	ś	c	i	u	s	z	k
z	s	u	i	c	ś	o	K	z	K	o	ś	c	i	u	s	z
s	u	i	c	ś	o	K	z	s	z	K	o	ś	c	i	u	s
u	i	c	ś	o	K	z	s	u	s	z	K	o	ś	c	i	u
i	c	ś	o	K	z	s	u	e	u	s	z	K	o	ś	c	i
c	ś	o	K	z	s	n	e	d	e	u	s	z	K	o	ś	c
ś	o	K	z	s	u	e	d	a	d	e	u	s	z	K	o	ś
o	K	z	s	u	e	o	a	**T**	a	d	e	u	s	z	K	o
ś	o	K	z	s	u	e	d	a	d	e	u	s	z	K	o	ś
c	ś	o	K	z	s	u	e	d	e	u	s	z	K	o	ś	c
i	c	ś	o	K	z	s	u	e	u	s	z	K	o	ś	c	i
u	i	c	ś	o	K	z	s	u	s	z	K	o	ś	c	i	u
s	u	i	c	ś	o	K	z	s	z	K	o	ś	c	i	u	s
z	s	u	i	c	ś	o	K	z	K	o	ś	c	i	u	s	z
k	z	s	u	i	c	ś	o	K	o	ś	c	i	u	s	z	k
o	k	z	s	u	i	c	ś	o	ś	c	i	u	s	z	k	o

Napis należy odczytywać od środka dowolną drogą (zawsze najbliższą) w kierunku czterech rogów. Iloma sposobami można odczytać nazwisko bohatera narodowego (Tadeusz Kościuszko)?

Nagrody

Za rozwiązanie zadań z niniejszego numeru (logogryfu i napisu) przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 Zł.

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 11 lutego.

Nagrody

Za rozwiązanie zadań z N-ru 51 nagrody otrzymują:

25 zł.

p. Franciszek Litwiński, Lublin, ul. Narutowicza 47 m. 8.

25 zł.

p. Stanisław Kopietz, Lwów, ul. 3-go Maja, 2, III p.

Książki beletrystyczne

pp. Jakób Lewenstein, Stanisław Staniszewski z Warszawy, Pola Halberstadtówna, Łódź, ul. Przejazd 40, Antoni Wolf, Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Wągrowcu (Poznańskie).

Sprostowanie

W zadaniu szachowem z poprzedniego N-ru niema piona czarnego na b4.

WILLY REESE.

HOCHSTAPLERZY

Mężczyzna i 8 kobiet

(Dalszy ciąg)

Peweł Monceau nieustannie wspominał „z rozrzewnieniem" o swym tricku w Bordeaux, dzięki któremu zdobył piękną kolję, wartości 400.000 franków. Jego późniejsze zdobycze, w postaci wyłudzanych sum od podstarzałych panien, wdów i mężatek, znużyły go. Zaczął się zastanawiać nad wykonaniem jakiegoś poważniejszego łotrostwa, któreby pozwoliło mu na dłuższy „urlop wypoczynkowy". Przyszedł mu z pomocą prosty przypadek.

Pewnego dnia przeczytał w porannem wydaniu „Journal'a" o przyjeździe do Neapolu słynnej divy filmowej, Mady Ch. Artystka, która się zatrzymała w najwspanialszym hotelu „Roma", postanowiła wystudjować życie Neapolu i niedalekie Sorrento, oraz nasiąknąć specyficznym folklorem włoskich *lacarrone*. Studja te były jej nieodzownie potrzebne do jej nowej roli w filmie. Notatka reporterska doniosła, prócz tego, cały szereg szczegółów z życia artystki, jak również z trybu życia, pędzonego w hotelu.

Po przeczytaniu tej wiadomości, Monceau poczuł jakby natchnienie. Momentalnie przyszedł mu do głowy pomysł, którego realizacji jednak nie mógłby się podjąć bez współpracy pomocnika. Jak dotąd, bowiem, pracował samodzielnie, co mu dawało dwie korzyści: absolutnego bezpieczeństwa przed zdradą kompanów oraz uniknięcia podziału w łupach.

Tym jednak razem odstąpił od swych zasad, czego potem, jak się przekonamy, gorzko pożałował.

Za godnego towarzysza, w swej łajdackiej robocie, uznał niejakiego Armanda Noret, którego poznał w Nicei. Armand Noret, nieposzlakowanej powierzchowności gentleman, kulturalny w obejściu i posiadający łatwość wkręcania się do najlepszych towarzystw Cote d'Azur, odznaczał się bezprzykładną elastycznością sumienia. Nie zdradzał się, oczywiście, przed nikim ze swych znajomych z tej szczególnej cechy, pozwalającej mu, bez skrupułów, uprawiać fałszerstwa karciane. Był jednakże pechowcem, a raczej, jak sam o sobie mówił, człowiekiem, urodzonym pod nieszczęśliwą gwiazdą. Nie jeden z jego misternie opracowanych planów był unicestwiony przez jakiś drobiazg. Na swoje dobro mógł jednak zapisać fakt, że nigdy nie był przychwycony na gorącym uczynku popełniania przestępstwa i jakkolwiek wielu przedstawicieli służby bezpieczeństwa tęsknie się zamyślało na jego widok, nie zdążył jeszcze przekroczyć progu więziennego gmachu.

Armand Noret odznaczał się niemniejszą bystrością od Pawła Monceau, to też spółka tych dwóch wyrafinowanych rzezimieszków, mogła rokować jaknajpomyślniejsze nadzieje. Armand zachwycił się planem, przedstawionym mu przez Pawła, to też z radością przystał na współudział w przedsięwzięciu, które miało ich uczynić ludźmi bogatymi. Udali się obaj do Neapolu....

W pobliżu hotelu „Roma", stojącym w najelegantszej dzielnicy Neapolu, istniała od kilkudziesięciu lat firma jubilerska braci Gontrand, zwana przez towarzystwo neapolitańskie „Toledo". Był to jeden z najpoważniejszych handlów klejnotami, a obaj właściciele, Henryk i Fryderyk Gontrandowie, cieszyli się szacunkiem swej arystokratycznej klijenteli. Wszelkich tranzakcyj, jak również obsługiwania klijentów nie powierzali swym współpracownikom, nie dlatego, żeby im nie ufali, lecz przez wzgląd na przysłowie: *„Pańskie oko konia tuczy"*. Umiejętne i delikatne obsłużenie kupującego, zaspokajanie jego żądań, zanim ów ich sam nie wyraził, było, ich zdaniem, jedynym środkiem do racjonalnego prowadzenia interesu.

Pewnego dnia, około godziny 11-ej przed południem, wszedł do sklepu elegancko ubrany jegomość, w cylindrze na głowie i monoklu. Obaj bracia Gontrand zajęci byli w tym momencie wydawaniem pannie sklepowej klejnotów, do ubrania olbrzymich wystaw.

Przybyły zdjął cylinder, skłonił się właścicielom, poczem mruknął pod nosem swe nazwisko. Henryk Gontrand ukłonił się nowoprzybyłemu z wylewną uprzejmością.

Usłyszał nazwisko, szanowane w całej Lombardji. Ni mniej, ni więcej, miał przed sobą markiza Marca de la Borgette. Ród Borgette'ów należał do najstarszej szlachty italskiej. Jego bogactwa i majątki przyprawiały niejednego o zawrót głowy. Dla firmy „Toledo" był to podwójnie miło widziany klijent, raz dlatego że można się było spodziewać jakiejś poważnej tranzakcji, tak, niestety, w ostatnich czasach, bardzo rzadkiej, po drugie zaś Marco de la Borgette po raz pierwszy dopiero zwracał się z kupnem do braci Gontrand. To też Henryk i Fryderyk Gontrandowie na wyprzodki podsunęli znakomitemu klijentowi wygodny fotel i, zamieniwszy się w dwa znaki zapytania, ze czcią niemal oczekiwali na pierwsze słowa markiza.

— Chciałem, abyście mi, panowie, pokazali, co posiadacie na składzie. Oczywiście, nie mówię o jakiejś bagatelce... Jak mnie informowano, znajdę tutaj ładne kolekcje pereł. Chciałbym właśnie coś podobnego nabyć. Coś, cobym mógł śmiało ofiarować w prezencie pewnej damie... Oczywiście cena, w tym wypadku, nie gra dla mnie żadnej roli... Jest to rzecz uboczna...

Prawdziwą muzyką weselną było to przemówienie dla kupców. A przytem wypowiedziane z taką dezinwolturą i niedbałością, jaka cechuje ludzi, szlachetnie urodzonych i bogatych.

O tak! Paweł Monceau posiadał rzadki dar łatwego podszywania się pod cudzą osobowość, przytem jego ostatnie bliższe stosunki z podstarzałemi damami z arystokracji i wyższego towarzystwa pozwoliły mu przesiąknąć wykwintem w ruchach i lekkością w rozmowie.

Gontrandowie wybiegli natychmiast do swego prywatnego skarbczyka, mieszczącego się tuż za sklepem. Chcieli wydostać puzdra z klejnotami najrzadszemi i najstaranniej przechowywanemi, których byle jakiemu klijentowi nie prezentowali. To, co było bowiem w sklepie, nie mogło przecież, według ich mniemania, zadowolić wybrednego gustu szlachetnego przedstawiciela rodu de la Borgette.

Wkrótce na ladzie sklepowej leżały stosy najprzeróżniejszych klejnotów, znoszonych skrzętnie przez usłużnych jubilerów. Fałszywy markiz przerzucał niedbale kosztowne djademy, krytykując je fachowo oraz oceniając na oko ich wartość. Jubilerzy byli zachwyceni. Takiego klijenta dawno już nie widziała ich firma.

De la Borgette jednak nic nie wybrał z pomiędzy demonstrowanych mu kosztowności. Jedne perły były dla niego zamałe, inne znowuż były nierówne. Te nie miały pięknego koloru, tamte znów miały zbyt prostą oprawę.

Henryk i Fryderyk Gontrandowie niemal z nabożeństwem wsłuchiwali się w każde słowo dostojnego klijenta. Nagle Henryk oświadczył:

— Panie markizie! Ośmielam się prosić pana markiza o chwilkę cierpliwości. W tej chwili przyniosę z domu naszyjnik, którego perły zbieraliśmy przez długie lata. Jest on zbyt cenny, bym go trzymał w sklepie, a prócz tego nie spotkałem jeszcze amatora, któryby był w stanie go kupić.

Markiz de la Borgette łaskawie skinął głową i, wdając się w pogawędkę z drugim bratem, cierpliwie oczekiwał na przyniesienie klejnotu. W niecałe dziesięć minut, ukazał się Henryk Gontrad, niosąc pod pachą znacznych rozmiarów etui.

— Ach!... — tym okrzykiem, zupełnie bezwiednym, przyjął markiz widok naszyjnika. Okrzyk ten znamionował również prawdziwego znawcę, jak i miłośnika pięknych rzeczy.

Bo faktycznie, we wnętrzu etui, na poduszeczce z czarnego jedwabiu, pysznił się olbrzymi naszyjnik, z pereł, tak pięknie dobranych odcieniem i wielkością, że zdawało się, iż jest to niezliczona rodzina drogocennych bliźniąt.

Naszyjnik taki rzadko można spotkać nawet u największych jubilerów paryskich i londyńskich. Bracia Gontrandowie wpatrywali się również, niemal z bałwochwalczą czcią, na ten cud przyrody i kunsztu jubilerskiego.

— Co kosztuje ten naszyjnik?

— Miljon osiemset tysięcy lirów.

Targ trwał przeszło ½ godziny. Wreszcie obie strony zgodziły się na cenę jednego miljona siedmiuset tysięcy lirów.

— Panowie będą tak uprzejmi odesłać zaraz ten naszyjnik do hotelu „Roma" i wręczyć go p. Mady Ch., artystce filmowej. Ja zaś ureguluję rachunek za godzinę, to znaczy o pierwszej, również w hotelu „Roma", gdzie mieszkam.

Poczem, skłoniwszy się z powagą braciom Gontrand, markiz de la Borgette opuścił sklep.

Gontrandowie zatelefonowali do „Romy", by się upewnić co do swego wysokiego klijenta. Dyrekcja oświadczyła, że zarówno markiz, jak i p. Ch. zajmują apartamenty od paru dni. Jubilerzy opakowali perły w piękny futerał, poczem wydelegowali swego zaufanego pracownika, pana Sponetti, do wręczenia artystce pereł, jak również do zainkasowania należności.

— Boże mój! Cóż za piękny klejnot! — wykrzyknęła Mady Ch., otworzywszy futerał.

— To nie klejnot, lecz poezja — odwzajemnił się Sponetti, który ze wzruszeniem prawdziwego znawcy wkładał bezcenny klejnot na alabastrową szyję artystki.

— Doprawdy, nie wiem, jak się odwzajemnię markizowi — powiedziała artystka, z troską w głosie. — Widział mnie tylko dwa razy i w jakże piękny sposób składa dowód pamięci o mnie.

— Cudne kobiety mają niewyczerpane sposoby na złożenie podziękowań mężczyźnie, składającemu im swój hołd — odparł na to z galanterją Sponetti.

Poczem usunął się dyskretnie z pokoju, pozostawiając artystkę sam na sam z jej cennym upominkiem. Dowiedziawszy się u dyrektora hotelu, że markiz zapowiedział swój powrót na godzinę pierwszą, swą zwykłą godzinę lunchu w restauracji hotelowej, wyszedł na rozsłonecznioną via Roma, by użyć sobie przechadzki. Do pewnego stopnia czuł się współtwórcą kolji, gdyż odbywał niejednokrotne podróże zagraniczne, w celu dobierania pereł.

Godzina dwunasta minut 25.

Do pokoju Mady Ch. ktoś puka nerwowo.

— Proszę wejść!...

W drzwiach ukazuje się przygarbiona postać starszego, siwego pana, który podaje bez słowa swą kartę wizytową.

Giovanni Alba
prokurent firmy Gontrand fratelli, Neapol.
Via Roma. Toledo.

Artystka podnosi wzrok z nad karty wizytowej. Widzi przed sobą twarz, jakgdyby poszarzałą od nagłego nieszczęścia. Oczy rozszerzone od strachu, latające od wzruszenia wargi, pot, spływający wielkiemi kroplami z czoła. Przybyły klęka przed zdumioną aktorką i mówi głosem drżącym, nieledwie przechodzącym w szept.

— Łaskawa pani!... Oto widzisz przed sobą człowieka straconego... Mając do wysłania dwie wartościowe przesyłki, pomyliłem się w opakowaniach... Klejnoty, przeznaczone dla pani, pozostały u mnie, natomiast perły, kupione przez inną osobę, wysłałem do pani... Cios ten zupełnie łamie mi życie... Tylko ty jesteś w stanie je uratować... Oto są klejnoty, zakupione dla pani przez markiza de la Borgette... Zwróć mi tamte, a wiedz, że w ten sposób uratujesz moje dzieci od nędzy i piętna hańby na ich czołach za niegodny czyn ojca...

Mady Ch. jest wzruszona. Podnosi starego z klęczek, własną chusteczką ociera cieknące łzy, poczem bez słowa zdejmuje z szyi perły i wręcza Giovanniemu. Ten wydaje okrzyk radości i prawie oszalały ze szczęścia, wybiega z pokoju artystki bez pożegnania.

Nie trzeba chyba dodawać, że nieszczęśliwym panem Sponetti był nikt inny, jak wspólnik Pawła Monceau, Armand Novet.

— — — — — — — — — — — —

W oddalonej dzielnicy Neapolu, w pięknym parku, zaludnionym o tej porze przez dzieci i ich bony, przechadza się wytwornie ubrany młody człowiek. Co chwila patrzy na złoty zegarek. Upływają powoli kwadranse... Dochodzi godzina pierwsza... Przechodzień staje się coraz bardziej nerwowy... Dochodzi w pół do drugiej... Młody człowiek ciska przez zęby przekleństwo i kieruje się w stronę miasta. Na twarzy młodzieńca widać wyraz tłumionej wściekłości. Nic dziwnego... Interes, tak sprytnie obmyślony, wymagający uprzednich, dość kosztownych przygotowań (wręczona Mady Ch. imitacja pereł), spełzł na niczem.

Pierwszy raz w życiu Paweł Monceau zgodził się na pracę z pomocnikiem, który go wystrychnął na dudka.

Zabrał skradziony klejnot i umknął.

Ha, trudno!... Nieraz i złodziej bywa okradziony.

(g)



BITWĘ
pod RASZYNEM
WYGRAŁ w r. 1930

Marconi

budując olbrzymią stację nadawczą, za pomocą której zawojował całą Polskę dla odbioru na

DETEKTOR

Marconi'ego

ZA

zł. 18.60

Zupełnie pozbawiony szmerów i trzasków, niezniszczalny, dający absolutnie czysty odbiór

Aparat ten może być w ciągu 2 lat zamieniony na lampowy odbiornik Marconiego, za dopłatą różnicy ceny.

CAŁA POLSKA
NA DETEKTOR

Marconi'ego!

Warszawa, Marszałk. 142
Łódź, Piotrkowska 84.
Lwów, Akademicka 14.

Drobiazgi o książkach

Amerykański wydawca Sherlocka Holmes'a, niejaki Mac Clure, podaje w swoich pamiętnikach niezmiernie ciekawe szczegóły z karjery literackiej Conan Doyle'a. Oto za pierwsze sześć opowieści kryminalnych zapłacił on słynnemu autorowi 6.480 fr., za następne sześć zapłacił już 7.920 fr., aż wreszcie, po kilku latach Conan Doyle zawarł z wydawcą kontrakt, drożąc się niepomiernie.

Na kilka lat przed śmiercią Conan Doyle'a, Mac Clure ofiarował za podobną serję opowieści 1.200.000 fr. oraz 1.800.000 zgóry za następną porcję, lecz i tu spotkał się z odmową autora, który oświadczył, iż woli zabić swego Holmes'a, aby samemu nie paść jego ofiarą. (Conan Doyle, jak wiadomo, zmienił pod koniec życia kierunek twórczości).

*

Znany filantrop amerykański, Henry Folger, zapisał w testamencie 10 mil. dolarów na wzniesienie w Waszyngtonie domu Szekspira, dodając ponadto bibljotekę, złożoną z 200.000 tomów, poświęconych nauce o Szekspirze. W domu tym znajdzie również miejsce uniwersytet, kształcący w znawstwie teatru.

*

Ciekawy proces rozgrywał się niedawno zagranicą o prawa autorskie słynnej opery „Boris Godunow". Rzecz ta, kompozycji pierwotnej Mussogorskiego, po raz pierwszy ukazała się na scenie w r. 1874 i w tym samym roku partycja została przerobiona na fortepian. Rzecz ta jednak nie spotkała się z uznaniem publiczności i Mussogorski odstąpił w chwili depresji moralnej prawa swe za 600 rubli firmie wydawniczej b-ci Bossel, która obecnie przeniosła się do Paryża. W r. 1896 Vasilij Bessel polecił Rimskiemu-Korsakowowi przerobienie partycji i wystawił operę we wszystkich miastach świata. Niedawno wszakże, staraniem towarzystwa, znanego pod nazwą „Oxford University Press" i w porozumieniu z rządem sowieckim, odgrzebano w archiwach petersburskich pierwszy oryginał Mussogorskiego, który odtworzono w całości, usuwając wstawki Rimskiego-Korsakowa. B-cia Bessel pozwali angielską firmę, ta jednak, opierając się na prawie o nacjonalizacji utworów artystycznych, pozostałych w spuściznie po zmarłych autorach i na umowie z rządem sowieckim, proces wygrała i otrzymała poza satysfakcją moralną 25.000 fr. tytułem odszkodowania.

REDUTA

ZWIĄZKU ARTYSTÓW SCEN POLSKICH

odbędzie się dnia 31 b. m. (sobota), o godzinie 12-ej w nocy, w Teatrze Wielkim i Salach Redutowych.

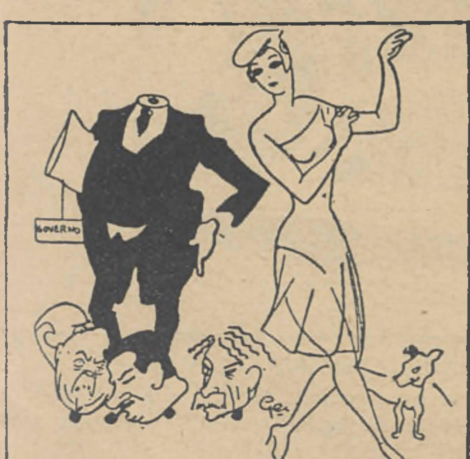
Udział artystek i artystów wszystkich scen stołecznych.

Najweselsza i najtańsza zabawa obecnego karnawału.

Bilety w cenie zł. 10 oraz loże od 40 zł. do nabycia w Związku Artystów Scen Polskich (Al. Jerozolimskie 39 m. 1), tel. 610-66 i 201-98, w godz. 9—12 rano i 4—7 wieczór.



ASPIRIN TABLETKI
ciągle jeszcze niedoścignione
jako środek przeciwko
Bólom głowy, Zębów, Przeziębieniu i Reumatyzmowi
Istnieje tylko jedna aspirina
Do nabycia we wszystkich aptekach.



Humorystyczna synteza kryzysu politycznego we Francji. Marjanna biada nad swym losem, gdyż obojętne jest, czy tę czy inną głowę przyprawi do tułowia — rząd wszakże zawsze będzie bezgłowy.

(Rire)



— Czy macie jakieś specjalne znajomości?....

— Poza Małgorzatą — nikogo...

(Rire)



Łódź, Piotrkowska 99.
Poznań, Plac Wolności 11.



MARYLA SITKÓWNA.

W styczniową noc

W błękitną śnieżną noc mknęliśmy saniami,
Jakgdyby nam skrzydła u ramion wyrosły,
Siłą niepojętą w nieskończoność gnani,
Radość, śmiech dziecięcy w srebrną dal nas niosły.

Przed nami równina od brylantów lśniąca,
A w górze drgających złotych gwiazdek roje,
Wkrąg jasno od śniegu i blasku miesiąca,
Mknęliśmy, jak ptaki hen, kędyś we dwoje.

W przestworzu dzyń, dzyń, dzyń dzwoneczków u sanek,
Piosnki buchające z piersi rozszalałej,
Mknęliśmy we dwoje, jaśni, jak poranek
Skroś perłowej nocy, nieskalanie białej.

Za nami miasteczko, jak dziwaczne cienie
Kurczy się i ginie, tylko światła z dali
Kładą się na szosie w przeróżne desenie,
W górze gwiazdy płoną, pod nami śnieg się pali.

W błękitno - srebrną noc mknęliśmy szaleni,
Aż z pod kopyt końskich iskry się sypały,
Jak haszyszem, cudną nocą, upojeni
Objechalibyśmy wkrąg i wszerz świat cały.

Skończyła się wreszcie ta jazda zawrotna,
Zwarły się przed nami równiny podwoje,
O, czemuś ty, chwilo cudna — niepowrotna!
Dumaliśmy, idąc ku miastu we dwoje...



„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.
Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna. 5.50, półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk
Ceny ogłoszeń: cała strona zł 1 200 ½ strony zł 600 mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej
Redaktor naczelny EUGENJUSZ RAFALSKI Wydawca PRASA ILUSTROWANA S-ka z ogr. odp.
Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.